Nr. 14. Poznań, dnia 8 Kwietnia 1906 r. Rok X.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,25
z odnoszeniem
do domu . . 1,37
pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
20 fen.

Treść nr. 14-go.

Zwycięstwo idei narodowej ua Górnym Śląsku.

Znamienny w dziejach postępu idei narodowej wydarzył się w ubiegłym tygodniu fakt: Polski Komitet Wyborczy dla Śląska zamianował kandydatem na okręg bytomsko-tarnogórski w miejsce ustępującego p. Królika — pana *Adama Napieralskiego*, naczelnego redaktora „Katolika“.

Uprzytomnijmy sobie fakt ten na tle ostatniego pięciolecia rozwoju stósunków politycznych na Górnym Śląsku.

W r. 1900 pojawia się nakładem „Dziennika Berlińskiego“, pozostającego wówczas pod wpływem młodej demokracyi narodowej, broszurka wypisująca na czele narodowych dążności dla G. Śląska hasło: *precz z centrum.*

Hasło to głosi zaciętą walkę z rządzącą na Górnym Śląsku partyą centrową i jej żarliwymi stronnikami w obozie polskim. Stawia ono sobie za naczelną zasadę, że: lud polski z Górnego Śląsku powinien wybierać posłów polskich, i że ci posłowie powinni jako przedstawiciele polskiego ludu wstępować do Koła polskiego w Berlinie.

Hasło to spotyka się z zaciętą opozycyą nie tylko w centrum samem, nie tylko z jego stronnikami na Górnym Śląsku, ale także i u nas w W. Ks. Poznańskiem.

Nie wierzono wręcz, żeby lud polski na Górnym Śląsku do tyla był narodowo uświadomiony, ażeby walkę pod hasłem tem podjąć mógł i chciał.

Niedługo potem zaczyna wychodzić nakładem p. *M. Biedermanna* w Poznaniu — „Górnoślązak“, który hasło to podejmuje, a na czele jego stoi dzisiejszy poseł *Wojciech Korfanty.* „Górnoślązak“ przenosi się do Katowic i tworzy tamże środowisko narodowej polityki.

Znana dostatecznie jest jego walka z „Katolikiem“.

Wśród tej nieustannej, a zaciętej walki nadchodzi rok 1903 — wybory do parlamentu, pierwsza ogniowa próba narodowego hasła.

Na krótko przedtem przechodzi do obozu narodowego p. J. Siemianowski, opuszcza redakcyę „Katolika“ i zakłada własny organ „Głos śląski“ w Gliwicach. Przybył w ten sposób nowy wojownik w pomoc „Górnoślązakowi“. Tworzy się komitet wyborczy i stawia w kilku okręgach kandydatów pod hasłem: precz z centrum.

Wiedziano z góry, że w znacznej większości tych okręgów wpływ „Katolika“ i „Gaz. Opolskiej“ jest tak silny, że kandydaci narodowi wybrani nie zostaną. Chodzi jednak o policzenie sił narodowych, o stwierdzenie ilości uświadomionych narodowo na Górnym Śląsku Polaków.

I cóż się dzieje? Liczono na pewno, że p. Kowalczyk, kolega i spólnik p. Korfantego, wybranym zostanie w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Natomiast wybór Korfantego w katowicko-zabrskim miał być co najmniej wątpliwy, a byli tacy, co twierdzili wręcz, że jest zupełnie niepewny.

Stało się wręcz inaczej. Okręg pszczyński wybiera centrowca w pierwszem i ściślejszem głosowaniu, a w okręgu katowickim *Korfanty* dostaje się do wyborów ściślejszych i z pomocą socyalistów — zwycięża.

Do Koła polskiego wstępuje pierwszy poseł polski z Górnego Śląska.

Skutek tego zwycięstwa jest ten, że „Katolik“ uznaje władzę polskiego Komitetu wyborczego, i choć nieszczerze popiera jednak kandydaturę posła Korfantego, którego mandat dzięki machinacyom centrowym zostaje — skasowany.

Znane są przeróżne kombinacye z ub. roku, kiedy cały żywioł polski z obawą wyczekiwał wyniku wyborów uzupełniających w Katowickiem.

Rezultat wyborów jest zdumiewający: *w pierwszym pochodzie zwycięża Korfanty* — od razu rozbija siłą faktu tego obóz socyalistyczny, a jak się obecnie wykazuje jednoczy powaśniony dotąd obóz polski.

Nie stało się to jednak od razu. „Katolik“ nie tak łatwo uwierzył w zwycięstwo narodowej idei. Pod wrażeniem jej układa się z centrum o reformę odłamu górnośląskiego, bo wierzy, że centrum to *może* się stać — prawdziwą partyą ludu polskiego.

Jak daleko układy te doszły, czy były już jakieś uchwytne rezultaty, o

tem nie wiadomo. W ciągu jednakże tych układów następuje fakt, który decydująco wpływa na stanowisko „Katolika“.

Oto posłowie centrowi ze Śląska, wybrani przeważnie z pomocą i poparciem „Katolika“ oświadczają, że wszelkim reformom partyi swej na Górnym Śląsku są przeciwni, i że ludu polskiego nadal bronić będą tylko w ramach dotychczasowej polityki centrowej.

Sytuacya od razu się zmienia i wyjaśnia, „Katolik“ robi krok za krokiem, które go na zawsze rozdzielają z centrum, któremu — jak sam powiada — 15 lat był wiernym sojusznikiem. Pierwszym z tych kroków, to złożenie mandatu przez posła Królika, a drugim, to przyjęcie kandydatury przez — p. Adama Napieralskiego, kierownika „Katolika“.

Taki jest krótki, pobieżny szkic tego, co się na G. Śląsku działo od pierwszego ogłoszenia hasła: precz z centrum.

Odwrócenie się „Katolika“ od centrum, to grób dla tej partyi na G. Śląsku. Wpływy jej niedawno zachwiane — dziś się skończyły na Górnym Śląsku na zawsze. Była ona dotąd zależna od „Katolika“, dziś staje się zależną od politycznych organizacyi polskich na G. Śląsku — w pierwszym rzędzie od polskiego komitetu Wyborczego.

W ten sposób odwrócenie się „Katolika“ od centrum — szczere i zupełne — jest zarazem wprowadzeniem na Górny Śląsk normalnych stósunków politycznych — a co najważniejsza zwycięstwem idei narodowej na Górnym Śląsku, zjednoczeniem przeciwnych sobie dotąd obozów — „Katolika“ i „Górnoślązaka“ wzgl. „Polaka“ i „Głosu Śląskiego“ — Korfantego i Napieralskiego.

Jest to istotnie fakt wielkiej wagi, chwila brzemienna w nieobliczalne jeszcze dziś skutki na przyszłość, które błogie mogą przynieść owoce nie tylko w pracy naszej narodowej w kraju — ale nawet nadać większej wagi staraniom i obronie posłów naszych w izbie parlamentarnej.

To też fakt pogodzenia się obozów górnośląskich cała prasa nasza, całe społeczeństwo, cała zapewne Polska wita z radością i uważa postawienie kandydatury p. Napieralskiego jako zapowiedź, a wybór sam uważać będzie jako widomy fakt: połączenia się Górnego Śląska z Wielkopolską i Prusami zachodniemi pod jednem, wszystkim nam wspólnem hasłem obrony i postępu idei narodowej.

Memoryał komisyi kolonizacyjnej w sejmie pruskim.

Rok rocznie składa komisya kolonizacyjna w sejmie pruskim sprawozdanie z czynności swojej z ub. roku i rok rocznie omawiają je posłowie polscy i niemieccy.

Nam, naszemu społeczeństwu całemu, całej bodaj Polsce czynność tej komisyi kolonizacyjnej jest tak dobrze znaną, że nie potrzebaby — zdaje się — o niej osobno i obszernie wspominać.

Jednakże interes narodowy, dobro sprawy naszej wymaga, byśmy nie przestali o grożącem nam z tej strony niebezpieczeństwie pisać póty, póki ono istnieje, a więc tak długo, póki prawo komisyi kolonizacyjnej nie zostanie zniesione i póki znajdzie się choć jeden parrycyda, choć jeden zdrajca Polak, który szmat ziemi naszej odda — kolonizacyi.

Zresztą warto sobie od czasu do czasu uprzytomnić wszystko złe, które w skutek różnych praw (!) pruskich spada na głowę naszą, ażeby odświeżyć w sobie uczucia wdzięczności (!) i przywiązania (!) na znak zadowolenia (?) naszego z tych praw.

Tego przecież spodziewa się po nas i rząd i jego stronnicy, abyśmy mu wdzięczni byli, abyśmy kochali tę *pruską ojczyznę* (!) za te *dobrodziejstwa* (!), któremi nas darzy od setki przeszło lat.

A jakież to dobrodziejstwa?

By je sobie dobrze uprzytomnić, przyjrzyjmy się nasamprzód działalności *noweli osadniczej* z r. 1904, jak ją opisał w mowie swojej z dn. 28 ub. m. w sejmie pruskim poseł *Dr. Zygmunt Dziembowski*. Żałujemy, że nie możemy podać tutaj wszystkich szczegółów tej mowy, i że musimy się za-

Naród Polski pod obcem panowaniem.

2)

Opowiedział **Julian Baczyński.**

(Ciąg dalszy).

A zabrawszy obszerne, urodzajne ziemie polskie, zbogaciwszy się na nich, trzymały je silnie w swych zbrojnych dłoniach i zaprowadzały w nich rządy polegające na przemocy.

Zaprawdę trudno dziś uwierzyć, iż nikt nie ujął się wtedy za Polską, a szarpali ją nawet ci, których z zaparciem się siebie od zagłady ocaliła [1]).

Idealną tylko osłodą dla narodu polskiego były zdania, dochodzące później od głów koronowanych, gdy carowie rosyjscy Paweł i Aleksander I. mówili szczerze:

— Naprawdę, Polakom krzywda się stała!

Albo gdy obojętni dla Polski dyplomaci, jak francuski Taillerand i austryacki Meternich głosili otwarcie:

— Rozbiór Polski był wielkim błędem politycznym!

Wtedy mężowie stanu przeciwni Rosyi tak w poszczególnych dyskusyach dowodzili:

— Rozbiór Polski był błędem politycznym, gdyż Rosyi nie należało pozwolić zabrać tyle ziem polskich, tak ogromnie rozrość się w Europie, bo jej właściwem zadaniem jest praca cywilizacyjna w Azyi!

— Odtąd przewaga Rosyi ciężyć będzie na wszystkich sprawach europejskich, a mocarstwa muszą sobie wzajemnie dopomagać do utrzymania tych obszernych ziem polskich, choćby zresztą interesa ich były sobie przeciwne!

A serdeczni, niezliczni przyjaciele Polski, do powyższych wywodów o politycznym błędzie, dodawali jeszcze inne zdania, wstrząsali zaborcom sumienia i mówili ostrożnie a zwolna:

— Cóż wy to myślicie, że ten wspaniały naród polski ze swą wielką przeszłością, naród co tyle zasług dla chrześciańskiego świata położył, tak bez niczego wyrzeknie się swej przeszłości i ojczyzny, dla tego że wam się podobało bezprawnie zagrabić jego ziemie?!

I czy to po chrześciańsku, czy to jest zgodne z powagą, z sumieniem dziejów, zrobić z tak wielkiego i sławnego narodu to, co wy uczyniliście, to jest na wieczne czasy ognisko niepokojów?!

Głuche milczenie było odpowiedzią na takie wywody. A tylko wśród chaosu zdarzeń, wśród szczęku broni, czarne, ponure, wrogie duchy przewrotnej chciwości, surowej przemocy i brutalnej siły zdawały się przelatywać górę, ponad błyszczące bagnety wyciągniętych szeregów, ponad ziejące

[1]) Austryę i Chrześcijaństwo ocalił od Turków król Jan III Sobieski pod Wiedniem w r. 1683 (12. września) chociaż w Polsce trzymali Turcy Kamieniec podolski od r. 1672.

dowodić zaledwie jej scharakteryzowaniem.

Przedewszystkiem wyłożył poseł Dziembowski na mównicy cały plik *akt urzędowych*, pozostawiając do woli posłom niemieckim przeglądanie tychże i przekonywanie się naocznie o prawdziwości tego co mówi. Uprzedził on w ten sposób ulubiony argument, jakim odpowiadano ze strony rządu na skargi polskie, że podawane przez posłów polskich fakta, są przesadzone, że nie odpowiadają istotnej prawdzie.

Jakże więc wygląda: dobrodziejstwo noweli osadniczej?

Otóż nowela ta wywołała w kołach rządowych przekonanie, że z chwilą jej prawomocności — *Polakowi nie należy dawać pozwolenia na pobudowanie sobie domu.*

Ale i tego nie dość. Noweli tej nadużyto nawet w takich razach, w których pozwolenie na budowlę wydano już rok albo dwa przedtem, a nieszczęśliwy przyjaciel takiego pozwolenia budowli nie zdołał ukończyć przed uchwaleniem noweli. Gorzej jeszcze, byli i tacy, którzy pobudowali już domy, potrzeba było tylko dach wznieść nad nimi. Ale cóż się dzieje?... Władze cofają pozwolenie, naczelny prezes nie udziela konsensu kolonizacyjnego... koniec końców niedokończony, dom wygląda na ruinę, a jego właściciel jest również zrujnowany...

Skutek takiego postępowania władz jest ten, że w dzielnicach polskich panuje obecnie stan — *prawnej niepewności.* Nikt nie wie, czy uzyskane dziś pozwolenie na budowlę, jutro nie zostanie odwołane.

To jest tylko jedno z dobrodziejstw pruskich praw, więc to tylko cząstka, to tylko zewnętrzny szkielet tego, co się dzieje, a ileż łez już wylano na te dobrodziejstwa, ile przekleństw za nie namiotano, tego nikt nie zliczy.

Działalność kolonizacyi i komisyi kolonizacyjnej jako takiej omawiał poseł *Dr. Witold Skarżyński.* Zwrócił on przedewszystkiem uwagę na to, że Niemcy sprzedawający swe majątki wręcz przymuszali do kupna kom. kolonizacyjną groźbą, że jeżeli ona nie kupi — sprzedadzą majątek swój Polakowi. To naturalnie spowodowało wysoką cenę. Płacono za ha. 1356 mk., zatem 160 mk. więcej jak rok temu. To rzeczywiście łakomy kęs dla H. K. T.-patryotów.

W dosadnich słowach napiętnował poseł nasz korupcyę wywoływaną handlem ziemią, spowodowanym przez kom. kolnizacyjną.

Wykazał wreszcie, że wszystko to na nic, że kolonizacya rok rocznie od Polaków mniej kupuje, że obecnie 7% nabytego obszaru od Polaków pochodzi, że co raz trudniej kupować od większych właścicieli nie tylko wprost, lecz i przez pośredników, że nawet włościanie nie w takiej mierze sprzedają swoją ziemię, jak się tego obawiano.

Od lat powinien się był rząd i jego poplecznicy przekonać, że jego polityka kolonizacyjna w łeb bierze, i jeżeli nawróci z tej drogi, to spełni względem Polaków tylko prosty akt sprawiedliwości, a równocześnie zrobi mądry krok polityczny we własnym interesie.

I posłowie niemieccy nie szczędzili komisyi kolonizacyjnej gorzkich przymówek. Poseł *Kindler* — wolnomyślny — z Poznania zarzucił komisyi, że doprowadza ona do upadku miasta, rujnuje drobny przemysł i handel niemiecki. A nawet jeden z konserwatystów starał się uśmierzyć obawy, że — że popierać będzie frakcya jego tylko (?) dotychczasową politykę kolonizacyjną, i że *wywłaszczenie Polaków uważałaby za niesprawiedliwość.* Liberałowie nawet uważali za potrzebę przyznać się do tego, że nadzieje ich zgermanizowania Polaków — *to głupstwo!*

Najwięcej jednakże uwagi godne jest stanowisko, jakie zajął przedstawiciel rządu wobec wywodów posłów naszych. Przytoczył on — na usprawiedliwienie tego, że odmawia się Polakom konsensu na osiedlenie się rzekomy fakt, że tego konsensu odmówiono także Niemcom w kilkudziesięciu wypadkach, i że naodwrót udzielono go Polakom. Na usprawiedliwienie ucisku żywiołu polskiego natomiast przytacza fakt, że walka pomiędzy Polakami a Niemcami nie od stu, ale *od setek trwa lat,* że obecna działalność kolonizacyi przeciwko Polakom, to tylko epizod w odwiecznej walce Germanów z Słowianami.

Możemy panu ministrowi Podbielskiemu — odwiecznemu zdaje się Ger-

---

ogniem paszcze dział i zdawały się urągać i przygniatać tych, co podnosili głowy i obezwładniać swym strasznym głosem, który był podobny do świstu kul i do huku grzmiących armat:

— Cicho bądźcie niema już Polski żadnej, rozebraliśmy ją, bo nie umiała się rządzić, a jej bole i cierpienia nic nas nie obchodzą!

A gorszy jeszcze to ten szyderczy, cyniczny zły duch przyszłości, czający się w gruzach wielkiego narodowego gmachu chichocący złowieszczo i wołający w imieniu wielu głosem puszczyka:

— Ha, mamy wasze piękne bogate i urodzajne ziemie, zbogaciliśmy się na nich i nie oddamy wam ich już.... a te wasze bole, te cierpienia to dla nas igraszka!...

I skacząc po ruinach i trzepocąc czarnemi skrzydły nietoperza i niknąc w cieniach, huczał dalej nad głowami nieszczęśliwych, a w głosie tym syczała rozkosz zadawanego bólu:

— Mało wam tego?... czekajcie! My, oprócz zaboru, z tych waszych cierpień będziemy jeszcze korzystać, my was utrapionych będziemy jeszcze podburzać, aż do przesady wasze bóle rozdmuchiwać, ile razy nam to do naszej polityki będzie potrzebne!...

I cierpiący, pokrzywdzony naród polski, o którego krzywdzie cały świat mówił, lecz nikt zgnębionemu i opuszczonemu pomocnej ręki nie podał, musiał teraz patrzeć jak zaborcze państwa zaprowadzały swe rządy w jego ziemiach, tłumiąc wszelkie objawy niezadowolenia. Więc ciszej brzmiały już głosy oburzenia, głosy smutku i boleści, lecz nie były jeszcze pozbawione siły i jeszcze rumieniły lica zaborców. Polacy bowiem nie mogli się pogodzić z tym nowym porządkiem rzeczy i patrząc na nowe urządzenia powtarzali z goryczą:

— Rządy absolutne w Rosyi, Austryi i Prusiech nie są przecież lepsze od naszych konstytucyjnych, a urządzenia naszej konstytucyi 3-go maja są o wiele wyższe.

— Szlachta w tych państwach zaborczych ma podobnie uprzywilejowane stanowisko, lud pozostaje w poddaństwie a płacić musi o wiele wyższe podatki i dostarczać rekrutów!

Ale dopiero po Polsce, jak długa i szeroka rozległy się płacze i żale, przy bezsilnych objawach oburzenia, gdy zadudniały moskiewskie chyże kibitki i w szalonym pędzie pomknęły w lodowe ziemie Sybiru i gdy otwarły swe bramy straszne, ponure więzienia kazamat pruskich i austryackich. — O małoduszni i bez serca — słychać było stłumione narzekania — to wszechświatowej sławy bohaterowie nasi i ojczyzny obrońcy z męstwem w sercu i zapałem wypełniający swój święty obowiązek, przez was uważani za buntowników i zbrodniarzy, że ich w lochy więzień wtrącacie?!

(Ciąg dalszy nastąpi)

manowi — wdzięczni być za tę szczerość polityczną. Nie inaczej. Walka nasza o obronę narodowości na obrona nasza przeciwko zagonom komisyi kolonizacyjnej, obrona przed zachłannością smoka germanizacyjnego, to odwieczna walka dwóch wrogich ras — germańskiej i słowiańskiej. I dobrze, że w tej chwili wrogi nam rząd przypomina nam swoją, germańską — a więc rasową ku nam Polakom nienawiść, bo już nas nie uwiedzie pięknemi słówkami o dobrodziejstwach swoich, już nie znajdzie wśród nas takich, którzyby mu kiedykolwiek wierzyli, że to co robi, robi dla naszego dobra.

Niech jednakże rząd pomni, że nienawiść nie rodzi — ani miłości, ani wdzięczności ani przywiązania, i że nie może od Polaków tych uczuć wymagać, kto ich nienawidzi.

Jedno jeszcze na koniec słowo: Obecny na obradach sejmowych sprawozdawca „Dziennika Berlińskiego" odniósł wrażenie, jakoby coś się zmieniło w dotychczasowem usposobieniu izby względem komisyi kolonizacyjnej, że ani partye rządowe ani rząd nie wychwalali jak zwykle rezultatów komisyi kolonizacyjnej, i że obrady sejmowe robiły wrażenie, jakoby rząd odniósł za swoją politykę — w sejmie porażkę.

Czyżby stąd na przyszość spodziewać się należało jakich zmian?

Zobaczymy.

Czemu „w obronie kościoła".

Niedawno temu umieściliśmy w „Pracy" artykuł w „obronie Kościoła," który spotkał się z różnych stron z zarzutem, jakobyśmy chcieli zasłaniać osobę ks. arcybiskupa z powodu wydania okólnika w sprawie „Straży."

Zarzut to niesłuszny. Na dowód stwierdzamy nasamprzód fakt, że w nr. 7 „Pracy" wyjaśniliśmy jasno i dobitnie stanowisko nasze wobec okólnika. Kto robi nam zarzut, że zasłaniamy w artykule naszym „w obronie kościoła ks. Arcybiskupa, niech zajrzy do wspomnianego numeru „Pracy" i niech przeczyta artykuł nasz „Najnowszy okólnik księdza Arcybiskupa" a przekonać się musi, że tak nie jest. Tam wypowiedzieliśmy zdanie nasze bez obslony, jak na pismo o tendencyi patryotyczno-narodowej należało.

W artykule zaś naszym „w obronie Kościoła" poruszamy zupełnie inną sprawę, będącą w związku z okólnikiem i ks. Arcybiskupem tylko o tyle, o ile nam myśl ta się z powodu okólnika nasunęła.

O co tu chodzi?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że myśl zakazu udziału duchowieństwa w działalności w „Straży" wyszła *od rządu.* Przypominamy fakt, że prezes „Straży" dopytywał się u ks. Arcybikupa, czy nie obawia się z powodu udziału księży w pracach „Straży" jakichś trudności z rządem. Ks. Arcybiskup odpowiedział, że — nie, a więc „Straż" nie usuwała dobrowolnego współpracownictwa księży.

Przewidywania ks. Arcybiskupa, się nie ziściły. Rząd rozpoczął trudności, zażądał okólnika, ks. Arcybiskup żądania posłuchał.

I jakaż teraz jest sytuacya? Otóż — rząd jest autorem okólnika a — ks. Arcybiskup jego pośrednikiem do duchowieństwa.

Zdajmy sobie sprawę z wyrażonych z wielu stron opinii.

O Okólnik tu nie chodzi. On jest i pozostanie dokumentem godzącym w prawa obywatelskie księży i pozbawiającym — mocą nakazu — społeczeństwo nasze współudziału tychże w pracach narodowych skupiających się w „Straży".

Ale czem on jest na tle kościelnym?

Jest on *mieszaniem się świeckiej, protestanckiej władzy do spraw — katolickiego kościoła, do spraw hierarchii tego kościoła — jednem słowem — według naszego zdania — działaniem na niekorzyść katolickiego kościoła!*

Przypomnijmy sobie, jakie z powodu tego okólnika odezwały się głosy: że jest on klinem nieufności wbitym między ks. Arcybiskupa a wierny kościołowi katolickiemu lud, że osłabi on przywiązanie do kościoła itd..

Czyż tak istotnie nie było, czyżby tak być nie *mogło?*

I dla tego spotyka nas zarzut, że my występujemy w obronie tego kościoła? — że wskazujemy na grożące nam niebezpieczeństwo — bodaj nowego kulturkampfu i nawołujemy do obrony Kościoła naszego przeciwko protestanckiemu rządowi?...

Być może, że nie postawiliśmy kwestyi tak jasno, jak dziś, że zapomnieliśmy *powtórzyć* naszej o samym okólniku opinii i że z tego powodu znaleźli się ludzie, którzy tymi powodowani pozorami, robią nam zarzut, jakobyśmy zasłaniali osobę ks. Arcybiskupa.

Nie — nam o ważniejszą rzecz chodziło — o Kościół, który po nad nami stoi i po nad osobą najwyższych swoich dostojników. Może artykuł nasz wychodził po za ramy — codziennego, ciasnego sposobu myślenia, ale że artykuł nasz uderzył w sedno sprawy, to dla nas nie ulega wątpliwości.

Myśmy osoby ks. Arcybiskupa nie zasłaniali, ale zdawało nam się — i słusznie — że wypowiedziawszy się w tej sprawie raz jasno i niedwuznacznie, nie mamy potrzeby się powtarzać. A z drugiej strony opinia ks. Arcybiskupa w najszerszych kołach jest już dostatecznie urobioną — i ustaloną, tak, że zdanie o niej albo artykuł więcej lub mniej ani pogorszyć ani naprawić jej nie zdoła — bo zależy ona nie od artykułu, lecz od postępowania samego ks. Arcybiskupa w sprawach, które wchodzą w zakres naszych interesów narodowych.

Jeszcze raz powtarzamy, że dla nas *ważniejszą jest sprawa — obrony Kościoła,* gdy widzimy grożące mu niebezpieczeństwo ze strony wrogiego, protestanckiego rządu, *aniżeli ostre potępianie osób,* które się stały narzędziami w ręku tego rządu bez względu na to, czy zrobiły to dobrowolnie, czy pod przymusem, czy z politycznego krótkowidztwa, o co ich w tym wypadku posądzać, nie jest podobieństwem.

Sprawa cała z okólnikiem wygląda nam raczej na to, jakoby właśnie *rząd zasłaniał się osobą księdza Arcybiskupa,* jakoby *rząd rozmyślnie i świadomie ściągał gromy społeczeństwa i prasy na tego ks. Arcybiskupa, ażeby przez to ukryć zamiary swoje i chęć prowadzenia w dalszym ciągu przeciwko nam Polakom — walki kulturnej.*

Niech sobie sprawę tę dobrze rozważą ci, którzy publicznie, pokątnie i anonimowo robią nam zarzuty. Na koniec tę jeszcze dodajemy uwagę, że nie rościmy sobie wcale pretensyi, by poważne argumenty nasze zdołały ich przekonać o słuszności zapatrywania naszego. Tego jednakże przynajmniej spodziewać się możemy, że choć tę przyznają nam racyę, że, patrząc tak na sprawę okólnika, mieliśmy obowiązek — obawy nasze poruszyć publicznie.

Rozstrój
w monarchii habsburgskiej.

II.

Walka, która dziś doprowadziła do groźnego rozstroju w monarchii habsburgskiej, rozpoczęła się na dobre w roku 1897, gdy przystąpiono do odnowienia ugody handlowo-clowej między

Austryą a Węgrami. Narodowcy węgierscy domagali się koncesyi, których Austrya dać im nie mogła, a i rządowe wówczas stronnictwo liberalne usiłowało przy tej sposobności rozszerzyć kompetencye polityczne Węgier. — Wśród walki tej upadł gabinet Banffyego, a jego miejsce zajęło ministerstwo pod przewodnictwem *Kolomana Szella* (czytaj: Ssell) jednego z najwytrawniejszych polityków węgierskich. I on atoli miał trudne stanowisko wobec wzmagającej się na siłach partyi narodowej. Usiłował on zażegnać zrywającą się burzę drobnemi ustępstwami korony, nadto zaś tak zwaną dziś „klauzulą Szella“, krępującą Austryę przy zawieraniu nowych traktatów handlowych z zagranicą. — Lecz wszystko to nie osiągnęło pożądanego celu. Obstrukcya opozycyi zmusiła i Szella do ustąpienia. Po nim nastąpił hr. *Khuen-Hedervary,* były ban Chorwacyi, który tam zdobył sobie smutną „sławę“ madziaryzatora a zarazem rogłos męża żelaznej ręki. Opozycya narodowa przyjęła go z nieufnością i niechęcią a i w liberalnem stronnictwie rządowem zaczęły się objawiać pierwsze oznaki rozdwojenia. Do stronnictwa tego należała między innemi grupa hr. Alberta *Apponyego* (czytaj Opponyi), zbliżonego bardzo do stronnictwa niezawisłości. Ta grupa coraz jawniej przechylała się na stronę opozycyi. Ta w dalszym ciągu uniemożliwiała prawidłowy bieg prac parlamentarnych, zwłaszcza uchwalenie budżetu i poboru rekrutów. Khuen nie mogąc przeciwko niej nic zdziałać siłą, wdał się z nią w pertraktacye. Wówczas też sformułowała ona ściślej swoje żądania. Obejmowały one następujące punkty:

W armii węgierskiej, we wszystkich pułkach, rekrutujących się z krajów węgierskich ma być zaprowadzona *komenda w języku węgierskim.* W pułkach tych służyć mogą tylko oficerowie poddani węgierscy. Wojskowe zakłady wychowawcze mają otrzymać charakter wyłącznie narodowy. Pułki węgierskie winny otrzymać zamiast dotychczasowych wspólnych ściśle węgierskie sztandary. W dziedzinie polityki zagranicznej i w służbie dyplomatycznej ma być w większej niż dotychczas mierze uwzględniony język węgierski; poselstwa i konsulaty winny wywieszać zamiast dotychczasowego wspólnego herbu monarchii osobno austryacki, osobno węgierski. W dziedzinie ekonomicznej nastąpić ma zupełny rozdział między obu częściami monarchii, tak, aby Węgry miały prawo ustanawiania ceł także na import z Austryi. Tak samo ma być podzielony wspólny dotychczas bank państwowy austro-węgierski.

Spełnienie tych żądań równałoby się nie mniej nie więcej, jak *zupełnemu* rozpadnięciu się monarchii austro-węgierskiej na dwa nie tylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz *zupełnie samodzielne państwa,* złączone jedynie wspólną monarchą, a więc unią personalną. Na to korona zgodzić się nie mogła i nie chciała. Wybrany z łona stronnictwa rządowego komitet dziewięciu ofiarował opozycyi w porozumieniu z koroną następujące ustępstwa:

W pułkach węgierskich, a także rekrutujących się z Rumunów, Serbów i Rusinów, ma być odtąd język węgierski językiem *pułkowym.* (Znaczenie tego „języka pułkowego“ określiliśmy już bliżej w poprzednim artykule). W wojskowych zakładach wychowawczych ma być w większej mierze uwzględniony język węgierski i węgierski kierunek narodowy. Przeniesienie węgierskich oficerów do pułków rekrutujących się z Węgier ma się dokonać stopniowo w miarę możności. — Kwestya sztandarów, herbów i emblematów zostanie uregulowaną w drodze kompromisu, to znaczy, w dotychczasowych emblematach będą w wybitniejszy sposób uwidocznione herb i barwy węgierskie. Zgodzono się wreszcie także na pewne ustępstwa w dziedzinie ekonomicznej, handlowej, lecz nie na te warunki, jakie stawiała opozycya.

Korona żądała w zamian za to, aby sejm węgierski zgodził się na powiększenie czynnego stanu armii liniowej i na nowe wydatki na działa i marynarkę.

Ten program komitetu dziewięciu nie znalazł łaski w oczach opozycyi. Odrzucono go i obstrukcya trwała dalej. Krótko potem niezręczna przysługa, wyświadczona hr. Khuen-Hedervaremu przez hr. Szaparego, który usiłował przekupić jednego z posłów opozycyi, zdyskredytowała go do reszty i zmusiła do dymisyi.

Korona powierzyła następnie utworzenie nowego gabinetu hr. Stefanowi *Tiszy* (czytaj Tissa), synowi tak zw. „Bismarcka węgierskiego“, który stał na czele gabinetu w latach od roku 1875 do 1890. Nowy premier był człowiekiem młodym, lecz wielkich zdolności politycznych, nadto wiernie oddany koronie. Lecz i jego rządy były tylko dalszem pasmem walki z opozycyą. Położenie rządu stawało się tymczasem coraz trudniejszem. Kraj nie posiadał uchwalonego przez sejm budżetu, i pobór rekrutów był niemożliwy, jako nieuchwalony przez sejm. Powstał stan, który na Węgrzech zowią „ex lex“, pozaprawny. Każdą czynność rządu w takim stanie opozycya uważała za naruszenie konstytucyi węgierskiej. Posiedzenia sejmu stawały się coraz burzliwemi. Dla poskromienia obstrukcyi Tisza wreszcie utworzył osobną gwardyę parlamentarną, złożoną z żandarmów. Gdy ta pojawiła się w sejmie członkowie opozycyi uderzyli na nią, zbili gwardzistów na kwaśne jabłka i wypędzili z sali, zdemolowawszy przytem wszystkie fotele ministeryalne. Równocześnie okrzyczano Tiszę za zdrajcę, tyrana i grożono mu aktem oskarżenia w sejmie. Widząc niemożliwość rządzenia nadal z tym sejmem, Tisza uzyskał od korony akt rozwiązujący Izbę i rozpisał nowe wybory.

Odbyły się one w lutym roku zeszłego i wydały wynik niespodziewany, dla rządu wprost przerażający. Już poprzednio, wskutek zbyt autokratycznych rządów Tiszy odłączyły się od rządowego stronnictwa liberalnego dwie grupy: wspomniana poprzednio grupa Apponyego i grupa hr. *Andrassego.* Pierwsza jawnie stanęła po stronie partyi niezawisłości, druga, stojąc jeszcze na stanowisku ugody z roku 1867, otwarcie popierała opozycyę. Przeciwko rządowi agitowała dalej mała liczebnie, lecz bardzo energiczna katolicka partya ludowa, na której czele stoją hrabiowie *Zichy* (czytaj Ziczy) i bar. Rakowszky. Po zaciętej walce wyborczej stronnictwo niezawisłości zdobyło 80 *nowych* mandatów, tak, że liczyło razem 170 posłów, wzmogły się liczebnie także inne grupy opozycyjne — a stronnictwo rządowe *zmalało do połowy* i straciło większość w sejmie.

Następstwem tego zwycięstwa opozycyi był upadek gabinetu hr. *Tiszy* i utworzenie *koalicyi opozycyjnej,* w skład której weszły obok partyi niezawisłości grupy Apponyego, Andrassego i katolickie stronnictwo ludowe. — Wspólność monarchii zawisła rzeczywiście — na włosku.

Dalsze walki omówimy w następnym artykule. *I. K. M.*

Korespondencya z Galicyi*)

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 4-go kwietnia 1906.

Rozprawy nad wnioskami osławionych Wszechniemców, *Schoenerera i*

*) Wobec powyższej korespondencyi zaznaczyć mamy sobie za obowiązek, że nie we wszystkiem godzimy się z poglądami w niej wyrażonemi, podajemy je jednakże jako wyraz opinii galicyjskiej, przeciwnej głosowaniu Koła polskiego za nagłością wniosku o wyodrębnienie Galicyi. — Przyp. Red.

Wolfa, żądającemi wyodrębnienia Galicyi, wywołały w prasie galicyjsiej wielką burzę. Jak wam już wiadomo z prasy codziennej, za wnioskami temi głosowała także większość *Koła polskiego*. Trudno sobie rzeczywiście wyobrazić sojusz bardziej dziwny, jak tę wspólną akcyę reprezentacyi parlamentarnej *polskiej* z nieprzejednanymi *wrogami Polaków i Słowian wogóle*. Nienaturalny ten fakt rozbił także zasadę solidarności wiedeńskiego Koła polskiego. Za wnioskami Wszechniemców głosowała, jak już zaznaczyłem, tylko konserwatywna większość Koła, mniejszość demokratyczna w liczbie 18 posłów, nie chcąc głosować *przeciw* — co byłoby jawnem rozbiciem Koła — opuściła salę parlamentu. Wszystko to sprawiło, że i u was i w Królestwie powstała konsternacya, że pytano się, jakże możliwem było takie przymierze? Postaram się wyjaśnić to w krótkości.

Koło polskie jak wiadomo, już przed 30 laty stawiło postulat wyodrębnienia Galicyi. Później atoli postulat ten poszedł w zapomnienie. Wznowiło go teraz dopiero stronnictwo narodowo-demokratyczne. Czy jest on możliwy do wykonania, co do tego panują sprzeczne poglądy i zdania.

Z jakiej przyczyny domagają się tego samego Wszechniemcy austryaccy? Oto z następującej: Pragną oni przedewszystkiem zlania się austryackich krajów niemieckich z Rzeszą niemiecką pod berłem Hohenzollernów, Zanim atoli to nastąpi, pragnęliby przywrócić Austryi charakter *niemiecki*. Widząc jednakże, że przy obecnym składzie tej monarchii, w którym Słowianie stanowią większość, jest to niemożliwe, dążą do zmniejszenia żywiolu słowiańskiego w państwie, a że w Galicyi, krom niemieckich żydów niema Niemców, żywioł niemiecki niema tam więc nic do stracenia, żądają odłączenia tego kraju, nadania mu jeszcze szerszego samorządu. Jest to więc życzliwość dla Galicyi — bardzo *egoistyczna*.

Obecne wnioski Wszechniemców spowodowane zostały *sprawą reformy wyborczej*. Jakkolwiek niesprawiedliwy dla Słowian, rządowy projekt reformy wytworzyłby jednak *większość słowiańską także w parlamencie*. Zapobiedz temu mogłoby tylko usunięcie polskich posłów z parlamentu. Wówczas znów Niemcy mieliby w nim większość i mogliby narzucać swoją wolę *Czechom, Słowianom i Chorwatom*. I do tego zmierzały owe wszechniemieckie wnioski. Według nich w parlamencie [illegible]łaby zasiadać tylko pewna *delegacya*, wybierana przez sejm galicyjski, której atoli wolnoby było zabierać głos jedynie w *kilku wspólnych*, niejako *zewnętrznych* sprawach monarchii.

Wnioskodawcy wszechniemieccy przedewszystkiem atoli następujący cel mieli na oku: Pragnęli oto wnioskami swemi wnieść nową kwestyę sporną do obrad nad reformą wyborczą i przez to przeprowadzenie reformy tej, jeżeli już nie zupełnie uniemożliwić, to przynajmniej utrudnić i odroczyć. I z tego powodu zgłosili swoje wnioski jako *nagłące*. Według regulaminu parlamentu austryackiego wnioski takie mają *pierwszeństwo przed innemi* i muszą być jeżli parlament uzna ich *nagłość*, natychmiast także *merytorycznie* załatwione. Do uznania nagłości wniosków wymaga atoli regulamin tak zwanej kwalifikacyi większości, to znaczy *dwóch trzecich głosów*.

Ostatni ten cel — udaremnienie reformy wyborczej według projektu rządowego jest zaś także — jak to już wykazałem w poprzednich moich korespondencyach *celem konserwatywnej większości Koła polskiego*. W tym więc wypadku zbiegły się interesy dwóch skrajnie przeciwnych narodowych partyi i to tłomaczy przypadkową tę ich wspólną akcyę.

Uzasadniając swoje wnioski, Wszechniemcy otwarcie przyznali się, że pragną przez wyodrębnienie Galicyi odzyskać jedynie możność gnębienia i wynaradawiania reszty Słowian w Austryi. Prezydent gabinetu baron Gautsch oświadczył zaraz na wstępie, że rząd, widząc w tem zamiar utrudnienia reformy wyborczej, nie zaznaczy na razie wcale swego stanowiska względem *kwestyi samej* to jest kwestyi wyodrębnienia Galicyi. Oświadczył dalej, że rząd wniosków wszechniemieckich nie uwzględni, chociażby znalazły większość w Izbie.

Z Koła polskiego przemawiał jego prezes hr. *Dzieduszyski*. Zaznaczył on dobitnie, że Koło tylko dla tego głosować będzie za nagłością wniosków, aby poruszyć przy reformie wyborczej także *kwestyę rozszerzania autonomii poszczególnych krajów*, żywiąc obawę, iż nowy parlament, wybrany przez powszechne głosowanie, może stać się aż *nazbyt centralistyczny i dążyć do uszczuplenia samorządu krajów*. Z podobnych motywów stanęły po stronie Koła w tej sprawie niemieckie stronnictwa szlachecko konserwatywne.

Natomiast mówcy *słowiańscy* stanowczo przemawiali *przeciwko wnioskom wszechniemieckim*. *Rusin Romańczuk* błagał, ażeby nie oddawano bezwzględnie Rusinów, „sprzyjających Niemcom", na łup większości polskiej w *Sejmie galicyjskim*. Czech, Dr. *Strański*, apelował do *honoru narodowego Polaków* i do ich *poczucia słowiańskiego*. Czy Koło, pytał on, zapomniało o *Wrześni*, czy zapomniało o obelgach wszechniemieckich i o tem, że Wszechniemcy z Austryi są tylko *ekspozyturą Hohenzollernów*, iż gotowe są z *ich rąk przyjąć właśnie wyodrębnienie Galicyi?*

Ostatecznie w głosowaniu wnioski rzeczone nie osiągnęły *większości kwalifikowanej i upadły*. Koło polskie przez poparcie tych wniosków *nic nie uzyskało* a naraziło się na ciężkie zarzuty ze strony polskiej *demokratycznej i słowiańskiej*. Polityka Koła w tym wypadku była conajmniej — nie bardzo szczęśliwa.

Galicyanin.

Z zaboru rosyjskiego i z Rosyi.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Wybory. Komunikat Skałona i jego fałsze. Zamachy polityczne. Polskość na Litwie i Rusi i wynik dotychczasowych wyborów. Odezwy. Realiści i „Kraj." Autonomia Królestwa w prasie rosyjskiej. Stan Rosyi. Z prasy rosyjskiej.

Ponad wszystkiemi kwestyami w opinii publicznej góruje dziś oczywiście kwestya wyborów do Izby.

Rozwiały się wątpliwości co do ich terminu, smutne przewidywania zaledwie w części zaczynają się sprawdzać. Mianowicie na pierwszej sesyi Izby zasiądzie przedstawicielstwo tylko 5-ciu gubernii Królestwa — reszta się spóźni o 5—10 dni. Tak zadecydował Skałon, twierdząc, że do wyborów przygotowane są tylko gubernie: kaliska, kielecka, łomżyńska, siedlecka i piotrkowska i nakazując tam ukończyć wybory we wszystkich trzech kuryach oraz robotnicze, w pierwszych dniach maja. W pozostałych guberniach ukończyć się mają dnia 15 maja, w 5 dni po zebraniu się Dumy. Zresztą, nie jest to jeszcze zdecydowane stanowczo, gdyż Skałon proponuje skrócić terminy, oddzielające wybory w poszczególnych kuryach, czyli przyśpieszyć je i w reszcie gubernii Królestwa. W samej Warszawie wybory są naznaczone na 5-go maja.

Te wszystkie dane wyjęte są z urzędowego komunikatu Skałona do komitetu ministrów. Warto się przyjrzeć temu komunikatowi. Wielkorządzca warszawski kładzie w nim nacisk na

utrzymanie stanu wojennego aż do ukończenia wyborów, twierdząc, że tylko w ten sposób można je zabezpieczyć od terorystycznych zamachów partyi skrajnych, bojkotujących czynnie wybory. Jest to wprost kłamstwem, któremu przeczy cała rzeczywistość. Stan wojenny bynajmniej nie osłania akcyi wyborczej od zamachów terorystycznych. — Rozbicie 3 biur wyborczych w Łodzi, napad na zebranie „Spójni w Warszawie, krwawe starcie w lokalu wyborczym na Pradze, zamach w Płocku i parę wypadków podobnych nawet w osadach prowincyonalnych, wreszcie ostatni, najkrwawszy napad socyalistów na przedwyborcze zebranie w Łodzi, gdzie ciężko raniono z rewolwerów kilkunastu uczestników zebrań — czy wszystkie te fakta nie dowodzą, że bezpieczeństwo wyborów zgoła uwarunkowanem nie jest stanem wojennym? Jeżeli zaś inne liczne zebrania się odbywają spokojnie, zawdzięczyć to trzeba samym ich uczestnikom, samoobronie lub straży obywatelskiej, albo, jak w Pułtusku — ogniowej, gotowej zimną wodą studzić zapały niby obrońców, a w gruncie rzeczy najgorszych gwałcicieli wolności — socyalistów.

Stan wojenny ma zapobiegać zamachom!...

Ostatni tydzień przynosi znów ich kilka: w Radomiu zraniono ciężko strzałami rewolwerowemi Stankiewicza, (umarł wkrótce), naczelnika dyrekcyi naukowej, znanego prześladowcę polskich nauczycieli. We Włocławku strzelano, acz bez skutku, do policmajstra Mironowicza. Zamachy na patrole i policyantów i nadal są na porządku dziennym. Zaznaczyć też trzeba fakt niezwykle śmiałego napadu rewolucyonistów na śledcze więzienie warszawskie — Pawiak i uprowadzenie skazanego na śmierć rewolucyonisty, wraz z zabiciem dwóch stróżów więziennych.

Nie stan wojenny zapobiedz może tego rodzaju wypadkom, lecz wprowadzenie do kraju normalnych warunków bytu, zniesienie ucisku.

Nie może tego uznać łupieżcze czynownictwo, pobierające podwójne pensye podczas stanu wojennego, dzięki któremu kraj pozbawionym jest setek dzielniejszych obywateli i to w chwili najważniejszej podczas wyborów.

Odbywają się one w gminach gub. warszawskiej i kaliskiej. O te jesteśmy spokojni. Natomiast z męczeńskiej Chełmszczyzny donoszą o gwałtach, bezprawiach komisyi wyborczych (składających się z urzędników), fałszowaniu wyników wyborów, skargach i żalach ludności polskiej na forsowanie sztuczne prawosławnych Rusinów. Pomimo to jednak w powiatach rusinskich poprzechodzili przeważnie Polacy.

Niemałą otuchą i dumą napawać nas winien ostatni krok Rosyan „prawdziwych,“ wymierzony przeciwko narodowi naszemu. Kresowi patryoci rosyjscy wysłali deputacyę do cara z żądaniem przyznania „kresowej“ ludności rosyjskiej prawa wyboru specyalnych posłów do Izby. Gdzież tu powód do otuchy i dumy? zapytasz zdumiony czytelniku. Polega on na tem, że żądanie Rosyan „prawdziwych“ odnosi się i do kraju zabranego — Litwy i Rusi.

Przez lata całe z ust tych właśnie „prawdziwych“ słyszeliśmy twierdzenia, że Ruś i Litwa to kraje rdzennie, odwiecznie rosyjskie z ludnością rosyjską, a tylko nieznacznym odsetkiem „napływowej“ ludności polskiej. Dziś oto przekonywamy się namacalnie, że mimo czterdziestolecia niebywałego w nowożytnych dziejach ucisku i prześladowania, mimo całego szeregu praw wyjątkowych przeciwko Polakom, praw, teraz dopiero znoszonych; że mimo najtrudniejszych warunków politycznego bytu, żywioł polski na Litwie i Rusi stanowi potęgę, skoro sprawa rosyjska w tych krajach wymaga aż sztucznego zabezpieczenia ze strony rządu. Rosyanie w kraju, gdzie ludność polska stanowi 10—15 procent ogółu, w kraju o ludności rusińskiej, w ogromnej większości prawosławnej, Rosyanie w tym kraju wymagać muszą sztucznego zabezpieczenia swoich mandatów specyalnie przyznanych im posłów.

I prośba ich zdaje się będzie spełnioną. Car deputacyi kresowców odrzekł, że sprawę, podniesioną przez nich uważa za bardzo ważną, wymagającą specyalnego zbadania.

Rząd zresztą nie gardzi i innymi sposobami złamania na Litwie przewagi polskiej. Zakazał przedwyborczych zebrań partyi konstytucyjno-katolickiej, zorganizowanej przez wileńskiego biskupa Roopa. Dotąd odbyło się ich kilka.

Wybory w pełni i tutaj; przebieg spokojny.

W Białymstoku z kuryi wiejskiej przeszli sami katolicy, tak samo w Kownie, gdzie wybrano włościan i księży. Przeszli Polacy nawet w odległym Witebsku. Natomiast w kuryach miejskich bezwzględną przewagę dzierżą żydzi. W Brześciu i Grodnie przeprowadzili wyłącznie swoich kandydatów. Udział w wyborach przyjmują bardzo żywy. Polski komitet wyborczy w Wilnie postawił już kandydatury. Stronnictwo dem. nar. na Litwie wydało odezwę wyborczą, stojącą na gruncie łączności z Królestwem.

Odezwę wyborczą wydało też i stronnictwo realistów, czyli dawnych ugodowców. W odezwie tej próbują oni zaszczepić na Litwie zasadę niezależności przyszłego Koła Polskiego w Petersburgu od opinii publicznej w kraju, stawiając zasadę, że Koło działać winno jedynie zgodnie z sumieniem i w zależności od stosunków w Izbie; nie oglądając się każdorazowo na opinię polską!

Jest to wyraźna próba wskrzeszenia na gruncie naszym polityki dworskiej, która tak zgubne owoce wydała w zaborze pruskim, no, i w austryackim. Realiści na punkcie tym różnią się zasadniczo z demokracyą narodową, według której Koło Polskie być winno dokładnem odbiciem opinii publicznej w kraju i ściśle od niej uzależnionem w swej polityce.

Skoro już mowa o realistach, nie mogę pominąć milczeniem petersburskiego organu ich — „Kraju.“

Toczy on żywą polemikę z gadzinowym „Dniewnikiem Warszawskim.“ Ten ostatni zarzucił „Krajowi“ „wallenrodyzm.“ „Kraj,“ który w ostatnich czasach istotnie przemawiać zaczął goręcej, odpowiedział „Dniewnikowi,“ w długim artykule wyliczając i demaskując 20 letnią politykę tego pisma, jego przewrotność, podłość i delatorstwo. Dostało się przy tej okazyi polityce rządowej w Królestwie, i..... o dziwo — cały nakład „Kraju,“ przeznaczony dla Warszawy, znikł w drodze, przepadł ów numer (7-my), jak kamień w wodę, pomimo reklamacyi — ulotnił się jak kamfora.

Sprawa się oprze o sąd, którego wyrok będzie zapewne ciekawym.

Sprawa autonomii Królestwa znów powróciła na łamy prasy rosyjskiej. Tym razem długi artykuł w „Nowostiach“ poświęcił jej znany profesor Kariejew, nasz wierny a wypróbowany przyjaciel, jeden z przywódców wpływowej partyi demokracyi konstytucyjnej. Broni autonomii stanowczo, i zbija zarzuty, skierowane przeciwko niej ze strony rosyjskiej. Urzeczywistnienie tego najważniejszego żądania naszego w znacznym stopniu zależnem jest od powodzenia stronnictwa demokratów konstytucyjnych przy wyborach do Dumy. Powodzenie stronnictwa tego już dzisiaj stwierdzić da się — miasta rosyjskie i uświadomione włościaństwo wybrały przeważnie „kadetów“ (K. D.)

Niewyczerpaną kopalnią najnieprawdopodobniejszych, a jednak, niestety, prawdziwych i jak prawdziwych

wiadomości są dziś dzienniki rosyjskie.

Organa postępowej opinii rosyjskiej z „Rusią“ na czele są przepełnione opisami tysiącznych gwałtów, nadużyć i o pomstę do Boga wołających bezprawi, jakich reakcya dopuszcza się na łaknącym wolności narodzie rosyjskim. Są gwałty, o których wieści mrożą krew w żyłach i każą nam wierzyć, że Rosya cofnęła się w czasy Iwana Groźnego. Liczne egzekucye, masowe, częstokroć bez sądu i śledztwa, bezprawne trzymanie w więzieniach tysięcy obywateli, skutkiem zawieszenia nad całym niemal krajem stanu wyjątkowego, samowola zupełna poszczególnych generał gubernatorów wojennych — oto ponure tło życia rosyjskiego.

Dla braku miejsca niepodobna przytoczyć nawet części opisów „Rusi.“ Ograniczyć się muszę na powtórzeniu za pismem tem tych tylko faktów, które się tyczą Polaków, a o których faktach nie może pisać prasa warszawska podczas stanu wojennego.

A więc w cytadeli warszawskiej wybuchnął strejk głodowy *) więźniów politycznych pod hasłem: wyjaśnić każdemu z więźniów powód aresztowania, pozwolić widywać się z krewnymi, wypuszczać na spacer.

Oprawca więźniów warszawskich, Grün, jest w dalszym ciągu przedmiotem uwagi „Rusi.“ Z ogłoszonej przez pismo to biografii Grüna“ pokazuje się, iż jest to kryminalista, skazany przez senat przed 4-ma laty na pozbawienie praw i roty aresztanckie. W jaki zaś sposób taki człowiek mógł zostać naczelnikiem wydziału śledczego w Warszawie — pozostaje zagadką, wyjaśnienia, której głośno domaga się „Ruś.“ (Grün, jak wiadomo, odznaczył się zaprowadzeniem systemu tortur w więzieniach warszawskich). Skałona i jego politykę „Ruś“ ostro zwalcza. Redaktor Suworin skazany został na rok więzienia za „przestępstwa“ prasowe.

Wreszcie zaznaczyć muszę ciekawy epizod, podany i przez pisma warszawskie. Na posiedzeniu komitetu ministrów Tołstoj, minister oświaty, zarzucił rządowi, że urzędnicy ministeryum spraw wewnętrznych dostarczają broni czarnym secinom. Na to odparł Durnowo, że profesorowie zaopatrują w broń partye rewolucyjne. Obaj ministrowie przyrzekli dostarczyć komitetowi dowodów prawdy.

Pogłoski o dymisyi Wittego się ponawiają. Następcą jego ma zostać Kokowcew. *Sarmata.*

*) Więźniowie dobrowolnie nie przyjmują pokarmu póty, póki ich żądania nie zostaną wypełnione.

Szkice z Rosyi.*)

I.

Idea wolności w Rosyi w sam świąteczny tydzień Bożego Narodzenia r. p. 1905 pod murami Kremla, w sercu Rosyi stłumioną została w strugach krwi. — Reakcya, na chwilę bezradna i oszołomiona zbrojnem powstaniem, na wszystkich kresach państwa podniosła głowę i dziś jest zwycięzką na całej linii. Więzienia i kazematy forteczne, opustoszałe po amnestyi na nowo zapełniły się rojem ofiar nieszczęśliwych, wszelka swoboda słowa i zebrań przyobiecana solennie w manifeście 10-go października, tłumioną jest bagnetem i nahajką. Czasy Pobiedonoscewa, Plewego, Sipiagina wróciły w groźniejszej niż kiedykolwiek postaci. Zawcześnie tryumfowali ci, którym się zdawało, że hydra biurokracyi umarła i pochowaną została na zawsze.

W Królestwie Polskiem po krótkim wybuchu szału radości nastąpiła chwila bolesnej rezygnacyi i zwątpienia. Oto jak charakteryzuje Władysław Buchner, znakomity humorysta obecną wolność:

„Widziałem wolność w Warszawie,
Co mówię, to nie jest bajką,
Pędziła przez Marszałkowską
I wywijała nahajką.
Wołano: to konstytucya
Jaśniejsza od wielkiej świecy,
Chciałem jej przyjrzeć się zblizka
I dotąd bolą mnie plecy“.

Jestto pocieszającym znakiem naszej siły żywotnej, że nawet w takich chwilach nie tracimy humoru i możnaby się zaśmiać szczerze, gdyby rzecz sama nie była zbyt smutną. Wierszyk przytoczony oznacza dobitnie położenie nietylko w Królestwie, ale w ogóle w Rosyi.

Nasuwa się każdemu pytanie: Czemu przypisać zupełne fiasko rewolucyi? Jakież przyczyny i jakie warunki zeszły się; wydały tak smutny, lecz nie zupełnie nieprzewidziany rezultat.

Odpowiedź na to jest prosta.

Ktokolwiek zetknął się bliżej z tym narodem, który po pięćsetletniej niewoli spróbował zerwać pęta absolutyzmu, ten złudzeniom oddawać się nie mógł.

Wprawdzie oburzenie i nienawiść do obecnego rządu od dawna przesiąkły szerokie warstwy społeczeństwa.

Przez długie lata cierpiano milczkiem, lecz w tej warstwie społeczeństwa, którą dziś nazywają inteligencyą, brakło i braknie zupełnie inicyatywy, a przedewszystkiem energii i *siły moralnej.* Bo jeżeli po jednej stronie stoi przekupstwo, służalstwo, fanfaronada, brak poczucia obowiązku, lenistwo, pijaństwo, nieuctwo i nieposzanowanie wszystkiego tego, cośmy przywykli nazywać kulturą, to po drugiej stronie, która zamierzała usunąć taki stan społeczeństwa i zamienić go na lepszy, stać powinny koniecznie przymioty zupełnie przeciwne t. j. prawość, otwartość, miłość prawdy, poczucie obowiązku, pracowitość, trzeźwość, oswiata. Czyż jednak w państwie rosyjskiem choćby drobny odłamek społeczeństwa może się poszczycić posiadaniem tych przymiotów t. j. odłamek zwarty w sobie i przedstawiający jakąśkolwiek partyę polityczną? Stanowczo nie. Są w Rosyi *jednostki prawe,* lecz *niema warstw narodu, w których poczucie prawa i sprawiedliwości przeszłoby w posiadanie ogólne.* Są jednostki światłe, lecz nie ma oświaty, są jednostki moralne, lecz nie ma moralności ogólnej. Gdy więc po niesłychanej klęsce zewnętrznej przyszło wreszcie do katastrofy, ogół narodu był na nią zupełnie przygotowanym. Tak nazwana inteligencya stchórzyła.

Warstwy posiadające w obec całego ruchu zachowały się biernie, a po części nawet nieprzyjaźnie, a na barykadach moskiewskich została garstka zupełnie zrozpaczonych proletaryuszów, którzy oprócz heroizmu nic na szalę rzucić nie mogli.

Inteligencya zawiodła.

Oprócz tego zawiodły nadzieje tych, którzy w niewytłomaczonym optymizmie spodziewali się zbratania wojsk z narodem. Do tego jeszcze daleko.

Czyż jednak krew tylu ofiar miałaby przelać się daremnie? Czyż na niwie krwią zbroczonej nie ma nigdy zakiełkować ziarno wolności?

Na to zapytanie odpowiemy w następnym artykule. *W. G....*

*) Niniejszym artykułem rozpoczynamy druk szeregu szkiców o stosunkach rosyjskich. Sprawa Rosyi dziś dla nas ze wszech miar jest uwagi godną, raz dlatego, że największa część braci naszych pod jej jęczy jarzmem, a powtóre, że zmiany wewnętrzne w Rosyi muszą wpłynąć na przyszły jej rozwój — a tem samem i na losy naszego narodu.

To też jest rzeczą niemałej wagi, poznać naród rosyjski, poznać Rosyę, poznać jej istotne położenie. Bez tego niepodobna robić jakichkolwiek przypuszczeń na przyszłość,— Szkice nasze pochodzą od gruntownego znawcy Rosyi i stosunków rosyjskich.

Przegląd prasy.

Ciekawy pod wielu względami artykuł umieściła „Gazeta Gdańska“ na temat: „*nasze położenie z uwzględnieniem Prus Zachodnich*“. Artykuł ten porusza mnóstwo myśli. Nie podobna jednak podać którejkolwiek z nich osobno za wspomnianem pismem, tak że postanowiliśmy podać cały artykuł w streszczeniu.

Stwierdza korespondent „Gazety Gdańskiej“ nasamprzód fakt, że Królestwo Polskie wprawdzie ciężką walką i wielkiemi ofiarami zdobyło sobie widoki lepszej przyszłości, że dalej — położenie Galicyi pod względem narodowym jest pomyślne, że z zaboru Pruskiego w W. Ks. Poznańskiem i na Górnym Śląsku budzi się coraz większa świadomość narodowa — i że wobec tego wszystkiego przyszłość Prus Zachodnich przedstawia się pod względem narodowym bardzo smutnie.

Korespondent nie waha się nawet stawiać pytania: czy bodaj z biegiem czasu *Prusy Zachodnie nie zostaną pochłonięte falą germańską?*

Nie pamiętamy, czy ktośkolwiek pytanie to w ostatnim czasie postawił, i czy starał się je uzasadnić. To też koniecznie należy się przyjrzeć wywodom korespondenta „Gaz. Gdańskiej“. Jakie one są?

Przytacza on przedewszystkiem *brak inteligencyi*, któraby sprawami narodowemi zająć się chciała. Ten brak inteligencyi powoduje brak towarzystw, któreby stać się mogły ostoją i obroną narodowości naszej.

Ciekawą tutaj przytacza korespondent charakterystykę polskiej inteligencyi w Prus. Zach. Powiada on, że inteligencya nie stara się o stowarzyszenia polskie, bo pracować musi w spółkach, bankach ludowych itd. i tłómaczy się tem, że przedewszystkiem należy stworzyć silną podstawę majątkową dla ludności polskiej, a reszta sama się zrobi.

Korespondent nie godzi się na ten pogląd, nie należy bowiem na plan pierwszy wysunąć spraw ekonomicznych, skoro sprawy narodowe niemniej, a może więcej od nich są zagrożone.

Najwięcej jednak obawia się korespondent tego, że dorastająca młodzież nie wychowuje się w duchu narodowym, dążności rządu i szkoły są znane, ale czemuż — pyta się — rodzice tym wpływom przeciwdziałają? — Bo — odpowiada — „u nas w Prusach Zachodnich ani między rodzicami niema uświadomienia!“

Dochodzi więc do ostatecznego wniosku, jeżeli dzisiejszej inteligencyi brak narodowego ducha, to gorzej jeszcze będzie w przyszłości, bo „w Prusach Zach. z radością wita już się fakt jeżeli znachodzi się abituryent, który ortograficznie napisze list polski, i słyszał coś o Mickiewiczu!“ — Obraz stosunków narodowych w Prusach Zach. przedstawia się więc bardzo smutnie. Czy to jednakże uprawnia do tak daleko idących obaw?

Zdaniem naszem — nie. Dobrze jednak, że korespondent Gaz. Gdańskiej bez obsłonek porusza braki narodowej pracy w Zach. Prusach, gdyż tylko wtedy można starać się zaradzić złemu, jeżeli je się dobrze zna.

Istotnem zaś złem jest, jeżeli społeczeństwo albo nie chce albo nie umie sobie wychować zastępu patryotycznej inteligencyi. To złe powinny więc Prusy Zach. starać się jak najusilniej usunąć. Środki ku temu są znane i już — wypróbowane.

* * *

„Straż“ i wszelkie organa prasy dbające o nasze sprawy narodowe umieszczają z początkiem kwietnia napomnienia, ażeby rodzice zgłaszając swe dzieci do szkoły stawiali równocześnie wnioski o udzielenie im nauki religii — w języku polskim.

Tymczasem odbiera „*Dziennik Poznański*“ od znajomego księdza z pod Książa wiadomość, że

> „od kilku tygodni w tamtejszej okolicy krąży pogłoska, że z rozpoczęciem nowego roku szkolnego w wszystkich miastach i miasteczkach prowincyi naszej nauka religii będzie udzialana we *wszystkich* oddziałach w języku niemieckim. Następstwem takiego rozporządzenia byłoby naturalnie skasowanie resztki nauki języka polskiego, która się jeszcze w szkołach utrzymała. Gdyby się pogłoski sprawdzić miały, w takim razie byłoby niezmiernie ciekawe pytanie, jakie stanowisko zajęła, resp. zajmie wobec tego zamachu władza nasza duchowna. Sądzę, że Szanowna Redakcya winna umieścić w łamach swego pisma w formie odpowiedniej ostrzeżenie, aby wzbudzić czujność w kołach miarodawczych. Ja, słysząc z stron rozmaitych o przygotowującym się zamachu, spełniam obowiązek sumienia, zwracając Szanownej Redakcyi uwagę na to nowe dla dziatwy naszej niebezpieczeństwo i wołam: „Czuj Duch!“

Pogłoski takie rozchodzą się niejednokrotnie. Odnosząc się jednakże z publicznem przedstawieniem do pism powinni informatorzy tychże równocześnie wskazać władzy duchownej uwagę na te pogłoski, bowiem władza duchowna najpierw ma obowiązek upomnieć się o polski wykład religii. Czy tak czyni? Powyższy informator „Dz. Pozn.“ odpowiada, że czyni ona to zawsze i w każdym wypadku, o którym się dowie.

Czemu jednakże mimo tego upominania polski wykład religii wciąż się cofa? — Pozostaje jedna tylko odpowiedź, że władza duchowna nie upomina się o ten wykład dość energicznie, bojąc się ze strony rządu posądzenia o „wielkopolską agitacyę“.

Czyżby w tej sprawie społeczeństwo nie mogło zrobić jakiegoś stanowczego kroku, któryby tamę położył chwiejności i ustępliwości władzy duchownej wobec rządu?...

* * *

Cała prasa nasza omawiała w ostatnim czasie żywo wypadki górnośląskie. Wiadomość o postawieniu kandydatury p. Napieralskiego spotkała się ze wszystkich stron z wyraźnem zadowoleniem i sympatyą. „Orędownik“ szczególnie nie szczędzi pochwał komitetowi śląskiemu za ten „prawdziwie mądry krok“.

Z pośród tej powodzi głosów wybieramy głos „*Górnoślązaka*“ jako tego pisma, które najpierw, i które pierwsze podjęło hasło wybierania posłów polskich — z Górnego Śląska — do Koła polskiego. Nadmieniwszy nasamprzód fakt, że p. Napieralski obejmuje spuściznę po Króliku, którego forytował pod hasłem centrowem, i że obejmuje ją z rąk polskiego komitetu wyborczego, nakreśliwszy krótko zmianę sytuacyi, jaka obecnie na G. Śląsku nastąpiła, pisze wreszcie mniej-więcej tak:

> „Zapytajmy się teraz, czy komitet nasz prowincyonalny zrobił dobry wybór? Pomimo dawniejszych grzechów politycznych „Katolika“, a z drugiej strony rozpatrzywszy się dokładniej w sytuacyi, każdy powinien przyznać, że nasz komitet zrobił bardzo dobry wybór, stawiając kandydaturę p. Napieralskiego. My ze swej strony nie taimy dziś dawniejszych błędów „Katolika“, nawet sami powyżej je przypomnieliśmy, gdyż właśnie mając je w pamięci, łatwiej zrozumiemy znaczenie kandydatury p. Napieralskiego. Przyjmując bowiem kandydaturę z rąk Polskiego Komitetu Wyborczego, p. Napieralski tem samem przyznaje, że zbłądził, gdy zwalczał przed trzema laty ruch narodowy, zbłądził, gdy wierzył w możliwość zgodnego współdziałania z centrum, a zarazem świadczy czynem, że z centrum zerwał raz na zawsze. Kandydatura p. Napieralskiego jest zatem definitywnym łącznikiem, wiążącym dotąd nie zupełnie jeszcze z sobą spojone dwa obozy polskie, narodowców i Katolikow-

ców. Kandydatura ta jest zwiastunem *jedności i zgody*, tak bardzo nam potrzebnej w naszem trudnem położeniu.

„Również trafnym jest wybór Komitetu, o ile chodzi o pytanie, czy także osobiście kandydat jest odpowiednim, aby módz być rzeczywistym obrońcą ludu naszego przed rządem i jego sprzymierzeńcami. Pan Napieralski pracuje już cały szereg lat na Górnym Śląsku, więc zna chyba dobrze smutną dolę naszego ludu i krwawą jego pracę o ten twardy kawałek chleba codziennego, a w ostatnich mianowicie latach ciężkiej walki politycznej, zrozumiał też potrzeby i żądania ludu pod względem narodowo-politycznym. Spodziewać się więc należy, że dobrym będzie ludu naszego obrońcą“.

„Górnoślązak“ oddaje więc sprawiedliwość i kandydaturze i osobie p. Napieralskiego. To tem więcej należy podkreślić, im gorętszym dawniej „Górnoślązak“ był Napieralskiego przeciwnikiem.

* * *

Do tej wysokości sprawiedliwego oddania nowemu kandydatowi, co mu się słusznie należy — bez przeoczenia dawniejszych jego błędów — nie umiał się wznieść jeden *„Głos Śląski.“* Przypomina on ustęp z mowy ks. Glowatzkyego w sejmie pruskim:

> „że jeden z redaktorów „Katolika“ przystąpił do posłów centrowych z wnioskiem, ażeby centrowcy podali rękę „Katolikowi“ i razem a w zgodzie zwalczali ruch polski.“

„Głos“ udaje niewiniątko jakby niewiedział, że „Katolik“ ruch narodowy istotnie zwalczał, jakoby nie wiedział nic o układach „Katolika“ z centrowcami. Tymczasem to było nietylko na Górnym Śląsku ale i nawet u nas publiczną tajemnicą.

Zresztą nie krył tego „Katolik“ nigdy i stara to historya, a „Głos“ odświeża ją dlatego, ponieważ „wolałby był, ażeby komitet postawił na kandydata pana Dr. Stęślickiego.“ Możeby się „Głosowi“ przydała dobra rada, ażeby nie wichrzył teraz, kiedy de facto nastąpiła zgoda, inaczej może ściągnąć na siebie zarzut, że stanął on po stronie narodowej z osobistej niechęci do „Katolika“ — a nie z przekonania.

Tydzień polityczny.

Finita la comedia! — Skończyła się komedya zwana *konferencyą marokańską*. Była ona niejednokrotnie zakwaszona groźnie rysującemi się obawami, że między Francyą a Niemcami wybuchnie zatarg wojenny, skończyła a raczej wkrótce skończy się pokojowo. Innemi słowy obrady, układy, pokątne intrygi dyplomatyczne, długie dytyramby prasy interesowanych państw zakończą się podpisaniem aktu zgody, mocą którego Marokko otrzyma finansowy nadzór państw europejskich i gwarancyę pokojową, gwarancyę ładu i porządku w postaci instruktorów policyjnych — francuskich i hiszpańskich.

A wszystko to dzieje się pod płaszczykiem — interesu Marokka, pod płaszczykiem obrony jego samodzielności, jego powodzenia i rozwoju. Nawet Marokko na to się godzi.

Na co więc te wzajemne pogróżki, na co te długie układy? Chodziło o zmierzenie się wpływów dyplomatycznych, bodaj o próbę — europejskiej równowagi, rzekomo zachwianej ostatnią klęską Rosyi w Mandżuryi. Niemcy popróbowały swoich przemożnych wpływów, spróbowały zmiażdżyć swego odwiecznego wroga ciężarem swojej przewagi — i zrobiły fiasko. Teraz pocieszają się tem, że ugoda w Algeciras wzmocni węzły przyjaźni (?) z Francyą i zapewni Europie spokój na długie lata.

Podnieść należy — możemy to uczynić ze szczerem uznaniem, — że znowu Ameryka, pośredniczka pokoju między Rosyą i Japonią, doprowadziła do porozumienia dzięki usiłowaniom swego przedstawiciela.

Wobec porozumienia i szczęśliwego zakończenia układów w Algeciras podnoszą się śmielej głosy o zwołanie drugiej konferencyi pokojowej w rodzaju Hagskiej. Ma ona jednakże obradować nie o sprawach politycznych lecz o innych — społecznych i może ekonomicznych. Carowi Mikołajowi II pozostawia się i tym razem pierwszeństwo inicyatywy. Zdaje się, że tkwi w tem pewna, ponawiająca się — ironia losu. W krajach cara brzmią hasła rewolucyi, naród, lud się buntuje — a car tymczasem zwołuje konferencyę pokojową.

Dziś przynajmniej nikt już nie będzie wątpił o — dobrych chęciach cara......

Przyniosła więc konferencya marokańska *Niemcom* stanowczą klęskę, z powodu której prasa niemiecka nie umie i nie sili się nawet na zatajenie swego niezadowolenia. Pomimo tego ks. Bülow pozostaje w urzędzie kanclerskim. Nawet grożąca mu upadkiem kryzys wewnętrzna nie odniosła z wielu stron pożądanego skutku. Mówiono o możności ustąpienia ks. Bülowa, jeżeli nie zdoła zdobyć sobie w parlamencie większości na poparcie wniosku rządowego o utworzenie osobnego sekretaryatu stanowego dla spraw zamorskich kolonii niemieckich. Kandydatem na urząd ten był ks. Hohenlohe, który postępowaniem swojem naraził się „rządzącej“ w parlamencie partyi — centrum. Lecz nie na próżno centrum od dość dawna zawarło sojusz z rządem i ks. Bülowem, poparło więc mimo niechęci do ks. Hohenlohego, wniosek rządu i ks. Bülow — ocalał.

Podczas obrad nad etatem wojskowym przemawiał w parlamencie poseł nasz hr. *Maciej Mielżyński*, nie szczędząc ostrych ministrowi wojennemu przymówek n. p. za zakaz używania książek polskich do nabożeństwa, za niesprawiedliwe wydalenie z wojska oficera — Niemca i protestanta — za to, że majątek swój sprzedał Polakowi.

We *Francyi* wybuchły z powodu nieszczęścia w *Courrieres* groźne w okolicznym okręgu kopalnianym rozruchy. Strejk dotąd nie ustaje, przeciwnie wzmaga się nieustannie. Górnicy są strasznie rozgoryczeni, przypisują bowiem całe nieszczęście winie pracodawców i inżynierów, że nie dość cenili życie górników, i że nie zapobiegli grożącemu nieszczęściu. Inżynierowie podobno dłuższy czas naprzód wiedzieli o pożarze w kopalni, a mimo tego nie starali się go usunąć.

W ostatniej chwili nadeszła niespodziewana wieść, że przypadkiem ocalało 13 jeszcze robotników, których wyratowała przytomność umysłu sztygara Nemy'ego. Nadchodzą nawet pogłoski, że podjęte na nowo prace ratunkowe kilka dalszych ofiar wyrwały z paszczy niechybnej śmierci głodowej......

Rosyi w ostatnich dniach Niemcy zrobili — małą, sąsiedzką przysługę. Latem ub. roku wydał radca rządowy *Martin* książkę, przestrzegającą przed udzielaniem kredytu Rosyi, przepowiadając tejże, że w niedługim czasie nastąpi w niej przesilenie finansowe. Sposobem nie wytłómaczonym książka ta znikła z handlu księgarskiego. Autor jednak, któremu przepowiadano, że usunięty zostanie z urzędu, pozostał na swem stanowisku do dziś i co najlepsze, wydał świeżo nową książkę pod tytułem „Rzesza niemiecka a rosyjska rewolucya“. Przestrogi przed udzieleniem kredytu Rosyi robi jeszcze silniejsze — a książka nie niknie. I dzieje się to w chwili, kiedy Rosya jak wiadomo robi ostatnie wysiłki do pożyczenia pieniędzy, bez których re-

wolucya ponownie weźmie górę, nad reakcyą i rządem.

To jest — przyjacielska przysługa. Dowodzi to tylko, że Niemcy nie są zadowolone ze stanowiska Rosyi w Algeciras i że w ten sposób okazują jej swoje niezadowolenie.

Tymczasem, jeżeli sprawdzą się pogłoski z czasów konferencyi, to Rosya otrzymać ma znaczną pożyczkę z Francyi — i łaska Niemiec okaże się — zbyteczną.

W *Królestwie Polskiem* zdecydował się rząd rosyjski ostatecznie zaprowadzić w szkołach elementarnych wykład nauki — w języku polskim.

Wybory do Izby rzemieślniczej na obwód regencyi poznańskiej.

Niedawno temu ogłosiliśmy odezwę komitetu agitacyjnego w sprawie wyborów do izby rzemieślniczej. Cała ta praca agitacyjna wyborów do tej izby z konieczności odbywa się prawie po omacku.

Dla czego? Otóż wyborami kieruje regencya, która przed trzema laty n. p. urządziła wybory coś w październiku, nie ogłosiwszy poprzednio ani terminu wyborów, ani okręgów, w których wybory odbyć się mają.

Skutek był ten, że nawet czysto polskie nieomal okręgi wybrały zastępców Niemców, nie zdoławszy się porozumieć co do kandydatów itd.

Czy i teraz tak będzie?

Spodziewamy się, że nie. Komitet wcześnie zwrócił uwagę na mające się odbyć wybory, Komitet czyni obecnie więcej, ogłasza bowiem okręgi, w których wybory się odbędą — o terminie trudno mu naturalnie wiedzieć. Powinni więc wyborcy — to znaczy *cechy i zarządy* tychże być przygotowane do wyborów każdej chwili. Chodzi bowiem o to, by do izby rzemieślniczej jak najwięcej dostało się — zastępców Polaków, których obecnie jest tak mało, że żadnego na sprawy tejże izby nie mają wpływu.

Wykaz okręgów jest następujący:

Pierwszy okręg nie wybiera żadnych członków.

II okręg w skład którego wchodzą powiaty ostrowski, kępiński, odolanowski i ostrzeszowski. Do okręgu II należą następujące miasta: Ostrowo, Kępno, Raszków, Sulmierzyce, Odolanów, Grabowo, Mikstat i Ostrzeszów. W tych miastach znajdują się razem 32 cechy, które mają prawo wyboru. Wybiera się w tym okręgu *jednego członka i jednego zastępcę.*

III okręg tworzą powiaty jarociński, krotoszyński, koźmiński i pleszewski; w skład tego okręgu wchodzą następujące miasta: Jarocin, Żerków, Jaraczewo, Mieszków, Nowemiasto n. W., Zduny, Pleszew, Pogorzela, Koźmiń, Krotoszyn, Kobylin, Dobrzyca. Razem są 32 cechy. Wybiera się *dwóch członków i dwóch zastępców.*

IV okręg tworzą powiaty międzyrzecki, nowotomyślski i grodziski. Do IV okręgu należą następujące miasta: Grodzisk, Buk, Opalenica, Trzciel, Międzyrzecz, Lwówek Zbąszyń, Brojce, Pszczew, Nowotomyśl. Cechów jest razem 58. Wybiera się *dwóch członków i dwóch zastępców.*

V okręg tworzą powiaty babimojski, śmigielski, wschowski i kościański. Do V okręgu należą następujące miasta: Babimost, Wolsztyn, Kargowa, Kopanica, Rakoniewice, Rostaszewo, Wschowa, Święcichowa, Kościan, Krzywiń, Czempiń, Smigiel, Wielichowo. Tutaj jest cechów razem 77. Wybiera się *trzech członków i trzech zastępców.*

VI okręg tworzą powiaty międzychodzki, skwierzyński, szamotulski i obornicki. W obrębie tego okręgu znajdują się następujące miasta: Skwierzyna, Bledzewo, Osieczna, Murowana Goślina, Rogoźno, Międzychód, Pniewy, Szamotuły, Obrzycko, Wronki, Oborniki, Ryczywól i Sierakowo, oraz dwie wsie, w których znajdują się cechy i to Polajewo i Prittisch. Razem jest tutaj 69 cechów. Wybiera się *trzech członków i trzech zastępców.*

VII okręg tworzy miasto Poznań i dwa powiaty wschodni i zachodni z miastami Swarzędz, Pobiedziska i Stęszewo. Cechów jest razem 30. Wybiera się *dwóch członków i dwóch zastępców.*

VIII okręg tworzą powiaty śremski, średzki i wrzesiński z następującemi miastami: Śrem, Książ, Dolsk, Bnin, Kórnik, Mosina, Środa, Kostrzyn, Zaniemyśl, Września, Miłosław i Strzałkowo.

Cechów jest razem 44. Wybiera się *dwóch członków i dwóch zastępców.*

Razem wybierają wszystkie okręgi 15 członków i 15 zastępców. Dotąd zorganizowane do wyborów są dwa okręgi VII i VIII. Kandydaci są już postawieni i będą w swoim czasie ogłoszeni, gdyż termin wyborów jeszcze nie wyznaczony. Niechże teraz reszta niezorganizowanych okręgów zajmie się wedle powyższego planu wyborami, ale to zaraz, gdyż czasu nie można tracić.

Oprócz powyższego wybierają *czeladnicy siedmiu członków* i siedmiu zastępców do *wydziału czeladniczego,* który tworzy ciało doradcze w Izbie Rzemieślniczej. Te okręgi są nieco odmienniej podzielone i tym razem wybierają następujące okręgi:

I okręg rawicko-leszczyńsko-gostyński jednego członka wydziału i jednego zastępcę.

II okręg odolanowsko-ostrowsko-kępińsko-ostrzeszowski wybiera jednego członka i jednego zastępcę.

III okręg jarocińsko-krotoszyńsko-koźmińsko-pleszewski wybiera jednego członka i jednego zastępcę.

V okręg babimojsko-wschowski wybiera jednego członka i jednego zastępcę.

VI okręg kościańsko-śmigielski wybiera jednego członka i jednego zastępcę.

VIII okręg obornicko-szamotulski wybiera jednego członka i jednego zastępcę.

IX okręg Poznań i dwa powiaty wybiera jednego członka i zastępcę.

Polacy na obczyźnie.

Haspe, w kwietniu 1906 r.

Szanowna Redakcyo!

Ponieważ już oddawna jestem wiernym abonentem „Pracy“ i ją doprawdy z wielką radością czytam, chciałbym Szanownej Redakcyi raz też parę słów donieść i zarazem małe sprawozdanie z czynności naszego nowozałożonego Polsko-katolickiego Towarzystwa zasłać. Nasze Tow. zostało założone w październiku z. r. Na początku liczyło 25 członków. Przez pilną agitacyą i wierną pracę wzrosło wkrótce aż do 70 członków. W kasie posiadamy przeszło 100 mk. a na sztandar zebraliśmy już 208 mk. Oprócz tego sprawiliśmy sobie szafę dla tow. Sztandar zamówiliśmy sobie z zakładu przemysłowego p. Kozłowskiej z Poznania za 650 mk. Także posiadamy 80 książek, które nam przysłało Towarzystwo Czytelni ludowych w Poznaniu, i na które zebraliśmy 14,50 mk. Zebrania odbywają się tutaj co 2 tygodnie w lokalu pana Dorlöchtera ulica Vörderstr. Na zebraniach panuje duch czysto- polsko-narodowy.

Spodziewamy się, iż nasze Towarzystwo jeszcze lepsze postępy zrobi, ponieważ jest tutaj bardzo wielu Polaków, którzy germanizacyi ulegają, są to przeważnie rodacy z Prus Zach. i z Warmii, lecz z Boską pomocą tak daleko może doprowadzimy, że każdy Polak będzie do naszego Towarzystwa na-

leżał. Policya już się o nas bardzo obawia, a ponieważ tutaj żadnego popolsku mówiącego policyanta nie ma, ma być od 1 kwietnia policyant po polsku mówiący do nas sprowadzony, a wtenczas też już „Vaterland" będzie od wielkiego niebezpieczeństwa uratowany. *K. K.*

Do rodziców polskich.

Narzekacie zwykle na brak nauki języka polskiego w szkole a nie korzystacie z tych praw, które Wam przysługują na mocy rozporządzenia ministeryalnego z dnia 16 marca 1894. Dzieci, które chodzą trzeci lub czwarty rok do szkoły, mogą nauczyć się języka polskiego, jeżeli rodzice lub opiekunowie sobie tego życzą.

Niestety większość rodziców nie korzysta z przysługującego im prawa, z opieszałości a może i dla tego, że nie umie odnośnego napisać podania. Podanie takie musi być napisane w języku niemieckim i adresowane albo do nauczyciela, albo rektora w mieście lub też do inspektora.

Aby ułatwić napisanie podania podajemy poniżej tekst:

..................den ....ten 19

Auf Grund des Ministerial-Erlasses vom 16 März 1894 B 5222, betreffend die Zulassung des polnischen Lese und Schreibunterichts auf der Mittelstufe der Volksschulen, ersuche ich Sie als Vater — Vormund — ergebenst, meine....... Tochter — Sohn — — Mündel.. im polnischen Lesen und Schreiben unterrichten zu wollen.

An

....

den Herrn..

in ....

Rodzice, którzy nie umieją sobie radzić z wnioskami urzędowemi, niechaj poproszą znajomych bieglejszych w tych sprawach o pomoc. Do nauczycieli w tym względzie nie ma się po co udawać, bo im przy zgłoszeniach na naukę polską pomagać nie wolno.

Komu mimo to zatrudno odpisać tekst, niech się zgłosi do ekspedycyi pism polskich a otrzyma formularz, który na życzenie wypełnimy bezpłatnie.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 2-go kwietnia, czas więc największy pomyśleć już o tem; kto się spóźni, tego dzieci po polsku uczyć się nie będą. Rodzice, pamiętajcie o duchowych skarbach, o polskości dzieci waszych!

„Straż."

Wiec w Rixdorfie przy Berlinie odbył się w niedzielę dn. 1 kwietnia, a udział rodaków był dość znaczny. Niestety, poseł dr. Zygmunt Dziembowski, z powodu niedomagania, nie mógł przemawiać. Poproszono posła hr. Mielżyńskiego, ale i on nie mógł życzeniu zadość uczynić, dla tego przemawiał p. redaktor Fr. Krysiak. Na członków „Straży" zgłosiła się dość znaczna liczba wiecowników.

* * *

Wiec w Chynowie w pow. ostrowskim odbył się w ub. niedzielę. Zagaił wiec starosta p. Stefan Rowiński, przemawiał p. Stan Zieliński jako delegat głównego zarządu Straży, a na członków zapisało się około 80 obecnych. Był to zapewne pierwszy wiec w tej wsi.

* * *

Wiec w Gnieźnie odbył się ubiegłej niedzieli. Przemawiali: delegat głównego Zarządu p. *Stefan Chociszewski* i p. Jan Teska. Interpelowano delegata „Straży", ile delegaci pobierają za wyjazdy na wiece i dowiedziano się, że poza zwrotem kosztów podróży — żaden delegat osobnego wynagrodzenia nie pobiera. Na zakończenie wieca przemawiał ks. dr. Trzciński, profesor przy gnieźnieńskiem seminaryum duchownem. Wiec trwał 3 godziny.

* * *

Wiec w Bobowie odbył się tym razem bez przeszkód. Przemawiali pp. Jezierski ze Starogardu, J. Bieliński z Pelplina, Górski z Mirotek, Kowalski z Gdańska oraz p. Lipiński z Bobowa. Udział w wiecu był daleko liczniejszy, aniżeli tydzień przedtem. — Wszyscy byli ciekawi, czy policya ten wiec także rozwiąże. Na członków zgłosiło się 60 wiecowników.

* * *

Wiec w Jabłonowie zagaił starosta p. Bol. Bardzki, który też wyjaśniał cele i zadania „Straży", przemawiali pp. Lipiński z Brodnicy, Gonczarzewicz z Grudziądza oraz p. K. Wojciechowski z Brodnicy.

* * *

Wiece „Straży" odbędą się w niedzielę dnia 8 kwietnia:

w *Rozdrażewie* (pow. krotoszyński) o godz. 5 po południu w lokalu p. Sieradzkiej.

w Gniewkowie o godzinie 1 i pół u p. Witkowskiego.

Ruch w Towarzystwach.

— *„Zjednoczenie zawodowe polskie"*, znana organizacya rodaków naszych na obczyźnie odbędzie swoje tegoroczne walne zebranie *w Essen* nad Rurą w sali p. van de Loo przy ul. Schützenbahn. Początek zebrania o godz $9^1/_2$ do południa. Do obwieszczenia tego zebrania dodaje „Zjednoczenie" następujące uwagi:

„Nadmieniamy, że według § 24 ustępu b każda miejscowość obwodu Nadreńsko-Westfalskiego, licząca przynajmniej 50 członków wypłatnych, wysyła 1 delegata na walne zebranie. Miejscowości liczące ponad 400 członków wysyłają 2 delegatów. Miejscowości, liczące mniej jak 50 członków, winny się połączyć, aby módz delegata wysłać. Delegaci przybywający na walne zebranie winni być o ile możności na zebraniach „Zjednoczenia zaw. polskiego" przez członków obrani. Miejscowości, wysyłające delegatów, winny się postarać o legitymacye dla delegatów, które w biurze otrzymać można".

Biuro „Zjednoczenia" znajduje się od 1 kwietnia przy ul. *Blüchera No. 1 w Bochum.*

— *Grohn pod Bremeną. Tow. św. Wincentego a Paulo w Grohn.* Walne zebranie odbędzie się 8-go kwietnia t. r. o godz. 3-ciej po południu na sali posiedzeń.

O liczny udział prosi *Zarząd.*

Wiadomości.

* **Towarzystwo Niemców-katolików** w Poznaniu, z którego z powodu nakazu Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa wystąpiło 7 księży niemieckich, uchwaliło wysłać do ks. Arcybiskupa podanie o odwołanie zakazu. — Uchwała ta nas nie zadziwia, ale ciekawi jesteśmy, czy krok ten to-

warzystwa Niemców-katolików dozna poparcia rządowego, czy też nie. Byłaby, naszem zdaniem, wielka szkoda, gdyby ewentualnie machinacye w tej sprawie ukryć się miały po za zasłoną — urzędowej tajemnicy.

*** Dola redaktorów polskich:** Redaktorowi „Gazety Polskiej“ p. *Sylwestrowi Czarneckiemu* z Kościana nałożył tamtejszy sąd ławniczy karę mk. 10, — za to, że utrzymywał „Biblioteczkę dla dzieci“ i nie zgłosił jej — do urzędu procederowego. Pan Cz. wypożycza książki bezpłatnie, nie uprawia więc żadnego procederu, odwoła się zatem do wyższej instancyi w tej sprawie. Równocześnie czeka p. Czarneckiego drugi proces, który wytoczył mu znany sprzedawczyk pan Müller, który zaprzepaścił *Łuszkowo*. Pan M. stawił wniosek o ukaranie p. Cz. za obrazę.

P. *Antoni Brejski*, redaktor „Wiarusa Polskiego“ skazany został na 2 miesiące więzienia za to, że wykazał nadużycia policyi podczas wycieczki, jaką urządzili sobie Polacy z Wanne do Wanne-Cronge.

P. *Józefowi Szmytowi*, redaktorowi „Wielkopolanina“ wytoczono proces za to, że ostro napiętnował sprzedawczykostwo.

Dwa terminy, jakie się odbywały w ubiegły piątek przed izbą karną w Bytomiu przeciwko redaktorowi „Górnoślązaka“ p. *Antoniemu Wolskiemu* — zostały na razie odroczone.

*** Bank kolonizacyjny** założono w *Gdańsku* staraniem tamtejszego prezesa naczelnego rejencyi p. Jagowa, celem spotęgowania i wzmocnienia niemieckiej własności ziemskiej w Prusach królewskich. Bankowi nadano imię banku włościańskiego w Gdańsku. Na liście akcyonaryuszy tego banku, który założono w formie spółki z ograniczoną poręką, figurują: fiskus pruski „Westpr. Prov. Genossenschaftsbank“ i „Darlehnskasse“ w Gdańsku. Bank wzmiankowany będzie wspierał włościan niemieckich pożyczkami oraz będzie na własną rękę parcelował włości, zastrzegając sobie pierwszeństwo kupna tych gospodarstw, na które udzielać będzie pożyczek. Kierownikiem nowej instytucyi zostanie radzca regencyjny Katte z Poznania. Założenie banku stoi w związku z najnowszym projektem zmiany gospodarstw niemieckich na włości rentowe, tworzenia których „dla wzmocnienia niemczyzny na kresach wschodnich“ domagał się niedawno temu hakatystyczny „Posener Tageblatt“. Nie chcemy być fałszywymi prorokami, ale wydaje nam się, że i to nie „niezawodny“ środek na — wytępienie królików.

*** Ks. proboszcz Zwickert** z Rydzyny skazany został przez izbę karną w Lesznie na 200 marek grzywny za rzekomą obrazę członków zarządu towarzystwa niemieckich katolików w Rydzynie. Obrazy dopatrzono się w kazaniu wygłoszonem w ostatnim dniu 1905 roku, w którem ks. Zwickert omawiał list cesarza Wilhelma wystósowany do ks. Arcybiskupa Stablewskiego. — Więc do tego już doszło w Prusiech, że nawet ksiądz na kazalnicy nie może się cieszyć „swobodą słowa!“ I to nie jest kulturkampf?

*** Sprzedaż gospodarstwa.** Dom Bankowy *Drwęski i Langner* w Poznaniu ogłasza w dzisiejszym numerze sprzedaż gospodarstwa ca. 110 mórg w Wielkich Mirkowicach pod Stempuchowem w powiecie Wągrowieckim, nabytego od Niemca p. Dawida Kraemera. Interesenci zechcą się udać wprost na miejsce w celu oględzin gospodarstwa. Warunki sprzedaży bardzo dogodne.

*** Sprzedawczycy-włościanie:** W *starej Krobi* gospodarz *Karolczak* sprzedał 40 mórg kolonizacyi — w *Lubinie* pod Krzywiniem sprzedała *Anna Jurga* 60 mórg agentowi kolonizacyi Seeligowi. Wieczna im za to hańba i wstyd niech będzie; niech żaden człowiek uczciwy nie podaje im dłoni, bo stanie się wspólnikiem ich hańby. Wstyd, wstyd na wieki...

*** Były urzędnik kolejowy** na obczyźnie pragnie chętnie wrócić do kraju i prosi rodaków o jakiebądź *zatrudnienie w kantorze, biurze, fabryce i t. p. Przyjąłby także chętnie miejsce kościelnego.* Bliższej informacyi udzieli redakcya „Pracy.“

*** Z miasta.** Korespondent z Rawicza strofuje w numerze 12 „Pracy“ nas przemysłowców, że jest nas za wielu w wielkich miastach, podczas gdy w małych miastach uczuwać się daje brak rzemieślników Polaków. Czytamy też często w korespondencyach, zamieszczanych w gazetach naszych, że tam i tam może się z korzyścią osiedlić blacharz, dekarz, stolarz, ślusarz itp., ale notatki takie są po części nieprawdziwe i nas rzemieślników tylko bałamucą.

Mamy teraz „Straż“ jako tako już zorganizowaną, więc sprawę osiedlania się rzemieślników naszych powinna wziąść w swe ręce „Straż“ i dopomódz nam rzemieślnikom do korzystnego osiedlania się po małych miastach.

Piszący te słowa już od szeregu lat stara się o osiedlenie w jakiem polskiem mniejszem mieście, ale bez skutku, a tu w Poznaniu zmarnował się materyalnie, bo za roboty budowlane nie chcą ludzie płacić, trzeba dopiero skarżyć, a często nawet nic się nie dostanie, bo długów pełno, więc nie ma objektów.

Zeszłego roku założyłem obok mego warsztatu blacharskiego także handel wyrobów blacharskich i sprowadziłem towary z tych samych fabryk, co dom towarowy czyli firma „Bracia Barasch“, ale swoi mnie nie popierają i wolą iść po towar do żyda, aniżeli do swego, a ja mój handel będę musiał zwinąć.

Tak wygląda nasz patryotyzm polski!

Mistrz blacharski, czytelnik „Pracy“.

*** Z teatru.** Na dwa dni kończące bieżący tydzień, tj. *sobotę i niedzielę wieczór* przygotowuje Dyrekcya piękne poetyckie dzieło *Jana Kasprowicza: „Uczta Herodyady.“* Pierwsze rozdziały Nowego Testamentu posłużyły naszemu poecie, dziecięciu Wielkopolskiej ziemi, jako motyw do wspaniałego dzieła, noszącego powyższy tytuł. Cudowna postać Chrzciciela znalazła w sobotnim utworze należyte uwypuklenie, znalazła żywotność. Tragiczna śmierć św. Jana, oraz kawał historyi żydowskiej z czasów poprzedzających męczeńską śmierć Zbawiciela, napisaną została przez mistrza z należytym dla religii naciskiem, a niesłychanym tragizmem. Jakimże demonem w „Uczcie Herodyady“ jest główna bohaterka utworu, Salome! Wierzymy, że na to przedstawienie pospieszy cały Poznań, tem więcej, że oprócz treści, także dla oka przedstawienia te będą ciekawe, bo przez pietyzm dla sztuki Dyrekcya zaopatrzła ją w *nową stylową dekoracyę* oraz w *nowiuteńkie stylowe kostyumy!*

*** Benefis państwa Czerniaków,** długoletniej artystycznej pary małżeńskiej teatru naszego, wypadł w ubiegłą sobotę pod każdym względem dobrze. Publiczność zapełniła z wyjątkiem lóż prosceniowych szczelnie teatr i obdarzyła benefisantów na samym wstępie sympatycznemi oklaskami, a w ciągu akcyi bukietami, kwiatami i podarkami. Grano Barriera: „Fałszywi poczciwcy“; sztuka przedstawia ciasny świat giełdziarsko-spekulacyjny. Główną rolę miał p. Czerniak. Obawialiśmy się, że benefisant zechce zabawić nas zwykłą swoją — manierą. Obawa nasza okazała się płonną, ale za to rola była nieco blada. Wolelibyśmy już prawie byli p. Czerniaka z manierą — jak tak bladą rolę. Pani Czerniakowa odegrała swoją fałszywą poczciwczynię pod każdym względem poprawnie. — Na wzmiankę zasługują także pp. Dobrzański i Kuncewicz, który w roli giełdziarza był wprost znakomity, za to w roli artysty zbyt mało wyraźny, p.

Prochaska, który jako satyryk-karykaturzysta umiał się utrzymać w tonie od początku aż do samego końca, pan Szatkowski i panie Wojciechowska i Stanislawska. Gra obu pań nacechowana była dobrem zrozumieniem ról i wcale szczęśliwem oddaniem ich na scenie. X....

* **Kościół spalony:** Wielkie nieszczęście spotkało w piątek dnia 30-go marca wieś *Wieszczeczyn* pod Dolskiem. Rano o godzinie pół do 7-mej zgorzał doszczętnie w tej wsi kościół parafialny pod wezwaniem św. Rocha. Kościół był drewniany, ogień tak szybko ogarnął wszystkie jego części, że oprócz jednego konfesyonału nic a nic nie wyratowano. Najśw. Sakrament, puszka, kielichy, monstrancya, aparaty i cudowny P. Jezus Ukrzyżowany na wielkim ołtarzu, stały się pastwą płomieni. Przyczyna pożaru dotąd nie wyśledzona. Prawdopodobnie nieostrożność ludzka stała się przyczyną tak wielkiego nieszczęścia. Ciężar budowy kościoła spoczywa na parafii w $^1/_3$ części, a na patronie w $^2/_3$ częściach.

* **Pniewy.** Odbyła się tutaj zabawa 18-go lutego b. r. panów strzelców kurkowych, na uroczystość Wilhelma II. Towarzystwo liczy 80 członków, większość stanowią Polacy. Przy rozpoczęciu zabawy p. A. Skórnicki, jako przewodniczący przemawiał po niemiecku. W dalszym ciągu zabawy wznoszono różne toasty i okrzyki, między innemi także na cześć króla kurkowego pana J. Sypniewskiego „Hoch soll er leben!“ krzyczeli Polacy, ale żaden z nich nie wzniósł toastu w polskim języku, pomimo to, że do strzelców należą członkowie z „Przemysłowców“ i „Spiewaków“. Nasi Polaczkowie potrafili nosić tylko obcych na barkach swoich i śpiewać liedry niemieckie. Zresztą dostali koniaka, więc nie ma się co dziwić... Brawo! patryoty trojaczkowe!

Mamy tutaj ochronkę, czyli t. zw. „Spielschule“. Do tej ochronki posyłają lojalni polscy obywatele swoje dzieci już w czwartym roku życia. Są to panowie: Adamczewski, Bogusławski, Kucharski, Stroiński i inni. Tak więc przyczyniają się ci panowie sami do germanizacyi własnych dzieci. Fakt smutny, lecz prawdziwy.

Czytelnik „Pracy“.

(Korespondencyę dla braku miejsca musieliśmy skrócić. — Przyp. Redakcyi).

* **Baczność Strzelno!** Dr. Warschauer z Poznania miał w Strzelnie w niedzielę ub. wykład o przeszłości Strzelna. Pan ten ma rozgłos, że po jego wycieczkach następuje — chrzest pruski nawiedzonej miejscowości. Czy w Strzelnie żydzi i Niemcy mają przewagę w radzie miejskiej? W takim bowiem razie obawy byłyby słuszne. Zatem — Strzelno baczność!

* **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. W. Śmiejkowski z Berlina 5 mk., N. N. z Łabiszyna 2 mk., S. M., A. i T. Wolińscy z Strzelna 3 mk., K. A. Bieda z Boruszyna 3,50 mk., zebrane przez p. K. Tomaszewskiego z Kosztowa 10 mk.

„Bóg zapłać!“

Ks. Władysław Jasiński, administrator.

* **Rakoniewice.** Jako wierny abonent naszej kochanej „Pracy“ muszę też donieść Szanownej Redakcyi co tu słychać na kresach.

W naszem prastarem polskiem mieście — przynajmniej dawniej polskiem — bo dziś widnieją wprawdzie napisy z polskiemi nazwiskami — lecz właściciele nie umieją po polsku lub zdarzy się, że mąż Polak, a żona Niemka, albo Niemiec mąż, a żona Polka. Smutno na kresach, smutno!

Jakie z takich małżeństw dzieci być mogą? Niechaj Szanowni Czytelnicy mnie nie pytają, bo serce mi się kraje, co się tu robi...

Brak tu nawet cienia ruchu narodowego, brak ostoi, jaką jest Towarzystwo polskie. Mamy tutaj Towarzystwo Robotników, lecz nasi rzemieślnicy i przemysłowcy do nich nie przystąpią. Gdybyśmy tak zarozumiali nie byli, byłoby z pewnością lepiej.

Trzeba by w Rakoniewicach założyć *Towarzystwo Przemysłowe.* Jest tu istotnie takiego towarzystwa wielka potrzeba. Możeby Szan. Redakcya nam udzieliła jakiej rady?

Właśnie na kresach powinniśmy gorąco agitować za „Pracą“, szczególnie my rzemieślnicy i przemysłowcy tem więcej, że jej redaktor p. Wierzbiński jest we więzieniu i to aż na półtora roku.

Zjednywajmy tedy na kresach dla „Pracy“ jak najwięcej abonentów.

Stały abonent.

* **Polski Związek Rolny** — donoszą nam — założony został w Toruniu i ma objąć robotników rolnych Polaków zatrudnionych w obrębie Rzeszy niemieckiej. Na czele związku stoją pp. Franciszek Bębnista z Mroczy, Jan Wojciechowski z Mokrego i Fr. Berger z Torunia.

* **Grohn** *pod Bremeną.* Mimo wielkich trudności zdołaliśmy założyć w dniu 11-go lutego r. b. Towarzystwo „Sokół“, do którego się zaraz 36 osób zapisało na członków. Zebrania odbywają się na sali p. Marcina Borjes w Vegesack, Sedanplatz. Ćwiczenia odbywają się dwa razy tygodniowo, co wtorek i piątek, o godzinie 8-mej wieczorem. Niech żyje „Sokół!“ Czołem!

(Dla braku miejsca musieliśmy skrócić korespondencyą. Przyp. Redakcyi).

* **Szanownym** naszym Czytelnikom we Westfalii i Nadrenii polecamy gorąco przedsiębiorstwo (interes) pp. *Lenartowskiego i Talarczyka w Herne przy ulicy Dworcowej.*

Nie potrzeba dziś chodzić do wrogów, bo wszelkie artykuły łokciowe, materye, bieliznę, kapelusze nabyć można u znanych ze rzetelności i uczciwości pp. Lenartowskiego i Talarczyka w Herne ul. Dworcowa.

Sokołom zaś szczególnie Wydziałom gniazd westfalsko-nadreńskich polecamy powyższe przedsiębiorstwo jako źródło pierwszorzędne do zakupna *koszulek ćwiczebnych, pasków i maciejówek* po cenach hurtownych, t. j. fabrycznych.

PP. *Lenartowski i Talarczyk* pracują gorliwie dla naszej sprawy, gdzie mogą, o ile im sił starczy, dla tego popierajmy gorąco ich na każdym kroku. „Swój do swego!“

Od Redakcyi.

Panu Wiktorynowi W. w Wojnowicach na Górnym Śląsku. — Środek przeciw piegom z przepisem użycia nabyć Szan. Pan możesz w „Drogeryi Universum“ w Poznaniu. Adres jest taki: *„B. Śniegocki w Poznaniu, ulica Rycerska 38 — Posen, Ritterstrasse 38“.*

B-durowi: Wiersze umieścimy w jednym z przyszłych numerów „Pracy“.

Panu W. Jes. w Załężu. Niech Pan lepiej tę sprawę wprost z p. Szcz. odrobi. Napisz Pan list i zażądaj Pan zwrotu pieniędzy i pogroź Pan ogłoszeniem w pismach.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 14-go „Pracy."

Rozprawy nad § 130 o podburzanie do gwałów.

Mowa
posła Bernarda Chrzanowskiego

wygłoszona w parlamencie niemieckim w środę, 14-go marca.

Donosiliśmy już pokrótce, że w dniu 14-go marca przyszedł pod obrady parlamentu wniosek Koła polskiego: ażeby „parlament zawezwał rady związkowe do przedłożenia prawnego projektu, dotyczącego zmiany § 130 kodeksu karnego, ażeby zapobiedz sprzeciwiającemu się sensowi paragrafu tego tłomaczeniu pojęć „zagrażanie pokojowi publicznemu" i „podburzanie do gwałtów".

Parlament wiadomo wniosek ten za poparciem centrum, wolnomyślnych i socyalistów przyjął. Podczas obrad uzasadniał wniosek polski p. mec. Chrzanowski, który zwyczajem swoim na mównicę udał się z całym plikiem papierów, wyroków sądowych i t. p. Mowa jego jest wyrazem obaw i uczuć całego społeczeństwa, którego synowie niejednokrotnie za słynne „podburzanie" albo „zagrażanie porządkowi publicznemu" kary więzienne przecierpieli. Z tego to powodu mowę tę warto poznać w całej rozciągłości. Brzmi ona jak następuje:

Mości Panowie! Już kilkakrotnie nad etatem ministerstwa sprawiedliwości zwracałem wysokiej Izbie uwagę na konieczność zreformowania § 130. kodeksu karnego. Czyniłem to ze względu na zasady postawione przez sąd Rzeszy, mianowicie dla tego, że już pośrednie podburzanie do gwałtów i nawet bardzo daleka możliwość zakłócenia pokoju publicznego wystarczają do zastósowania § 130. Ponieważ spodziewamy się, że musi nam przecież udać się przekonać parlament o konieczności zreformowania tego paragrafu, przeto stawiliśmy powyższy wniosek.

Przy uzasadnieniu tego wniosku wybiorę tę samą metodę, którą posługiwałem się już dawniej — metodę poglądową. Mianowicie złożę na stole Izby wszystkie dowody, wyroki, wiersze i obrazki. Nie jest to bynajmniej ciasny i suchy temat prawniczy; przeciwnie jest to bardzo ważny, ciekawy i znamienny okres z historyi prześladowania Polaków w Prusach. Rzadko można widzieć tak jasno, kto ma racyą, królewski rząd pruski, czy my. Rzadko można tak niezbicie udowodnić, że pruski świat urzędniczy — sędziowie, prokuratorzy i policya sieją wzburzenie i rozgoryczenie pomiędzy ludnością polską. Mówię „niezbicie", gdyż skoro chodzi o inne okresy z historyi prześladowania Polaków, powstaje zwykle spór co do słuszności przedkładanych faktów. Przedstawiciele rządu w sposób mało uprzejmy, zwykli zaprzeczać słuszności wywodom naszym; ale tutaj można wszystko sprawdzić natychmiast przedkładając dowody.

Zaczynam od artykułów z prasy, mianowicie od artykułu, na który powoływał się niedawno minister pruski w sejmie, używając go jako środka dowodowego przeciwko Polakom. Ja także powołam się na ten artykuł, ale jako na dowód przeciwko rzekomej bezstronności sędziów pruskich. Przyznaję, że artykuł ów nie zawiera bynajmniej wielkich sympatyi dla Niemiec i dla tego proszę członków wysokiej Izby, kochających gorąco swoją ojczyznę niemiecką, aby nie dali się zbałamucić i aby nie zapominali, że chodzi tu jedynie o stwierdzenie, czy zachodzi tu występek przeciw § 130 kodeksu karnego, mianowicie, czy autor stał się winnym podburzania do gwałtów, lub zakłócania pokoju publicznego.

A więc publicysta Maciej Wierzbiński, który żył dłuższy czas w Anglii i przywykł do tamtejszej wolności słowa, omawiał w szeregu artykułów pewnego tygodnia obecne położenie w Europie, politykę angielską i ambicye Niemiec. Pisze on według wyroku: Dokonuje się przed naszemi oczyma wielka gra pomiędzy Niemcami a Anglią. Od wyniku tej gry zależy los narodu polskiego. Niemcy — oczywiście mowa jest o Prusach — są największym i najstarszym wrogiem Polaków, który z wytężeniem wszystkich sił swoich dąży do wytępienia Polaków, dąży do tego, aby ich ubezwładnić i zniszczyć. Obowiązkiem jest więc reprezentacyi polskiej w Wiedniu, żeby popierała wpływem swoim tamtejsze wrogie Niemcom prądy! (Słuchajcie! słuchajcie! u liberałów) gdyż interes narodu polskiego wymaga koniecznie klęski Niemiec. Jeżeli już klęska Rosyi jest nie małem szczęściem dla Polaków, to klęska Niemiec oznaczałaby jeszcze stokroć większe szczęście dla nich, byłoby to rzeczywiście odrodzenie narodu polskiego; dopiero, gdy Niemcy stoczą swoje bitwy pod Mukdenem i Cuszimą, pierś polska odetchnie.

Przyznaję, że powyższy artykuł nie wypowiada życzliwości dla Niemiec, odnośnie Prus,

(wesołość)

ale chodzi o to, czy zawiera on występek przeciwko § 130 kodeksu karnego. Każdy nieuprzedzony w Izbie przyzna, że o podburzaniu rozmaitych warstw ludności do gwałtów nie ma mowy. Jeżeli sąd mimo to skazał autora — II Izba karna w Poznaniu skazała go dnia 25 listopada 1905 roku na półtora roku więzienia —

(słuchajcie! słuchajcie! u Polaków)

to zapomniał, że sądy nie są na to, aby karały kogoś za jego przekonania polityczne, lecz na to, żeby prawidłowo stósowały istniejące prawa, że nie mają uprawiać polityki tylko wymierzać sprawiedliwość.

Przytoczę dalsze przykłady. Mam tutaj dwie ogólnie znane, popularne piosneczki, które składam na stole Izby — w tłomaczeniu aktu oskarżenia. Odczytam je za pozwoleniem pana marszałka:

Polak nie sługa, nie zna, co to pany,
Nie da się przemocą okuwać w kajdany,
Wolnością żyje, do wolności wzdycha,
Bez niej jak kwiatek bez rosy usycha.

Inna pieśń:

Póki stara Wisła w polskiej ziemi płynie
Nadzieja i wiara w Polsce nie zaginie
Gwiazdka świeci wysoko na błękicie nieba
Śpiewajcie Bogu chórem, czego Polsce trzeba.
Płyń o Wisło do morza, nieś pytanie do świata
Czy to jest wola Boża, że nas nędza przygniata.

Pieśni te według wyroku Izby karnej w Poznaniu z dnia 17-go czerwca 1905 roku zawierać mają podburzanie ludności do gwałtów.

Przedkładam inną pieśń, także popularną i powszechnie znaną. Odczytam pierwszą zwrotkę:

Gdzie dom jest mój? gdzie strona ma?
Tam, gdzie Gopła jasne wody,
Gdzie nad Wisłą stare grody,
Gdzie na krwawem rozpiął tle
Biały orzeł skrzydła swe.
Tam to ona Lecha strona
Ziemia polska! tam dom mój.

I ta pieśń według wyroku Izby karnej w Grudziądzu z dnia 29-go kwietnia 1905 roku ma zawierać podburzanie ludności do gwałtów.

Nawet niemieckich pieśni nie zostawia się w spokoju. W połowie zeszłego stulecia ułożył poeta niemiecki, Juliusz Mosen, pieśń, która nawet w Niemczech cieszyła się wielką popularnością i którą drukowano nawet w książkach szkolnych: „Tysiąc klęczących przysięgło rycerzy". Składam pieśń tę na stole Izby. Zaraz po ukazaniu się przetłomaczono ją na język polski i dotąd jej nie ruszano. Ale Izba karna w Bytomiu dopatrzyła się w niej dnia 21 września podburzania do gwałtów.

(Słuchajcie! słuchajcie! u socyalistów).

Prawdopodbnie prokuratorya pruska wystąpi niebawem także przeciwko pieśniom polskim Platena von der Hallermünde i Jerzego Herwegha, i skonfiskuje stare wydania tych pieśni z przeszłego stulecia.

Ale także obrazki, nie mające najmniejszego związku z podburzaniem ludności do gwałtów, mają zdaniem wyroków sądów pruskich zawierać występek przeciwko § 130. Składam na stole Izby dwie pocztówki z widokami. Pierwsza przedstawia obrazek z pierwszą zwrotką i melodyą pieśni Mosena „Tysiąc klęczących przysięgło rycerzy". Na drugiej pocztówce znajduje się obrazek zamku królewskiego na Wawelu i pierwsza zwrotka znanej pieśni polskiej: „

Na Wawel, na Wawel
Krakowiaku żwawy,
Podumaj, potęsknij, „
Nad pomnikiem sławy.

I te pocztówki według wyroku Izby karnej w Poznaniu z dnia 7 września 1904 roku zawierać mają podburzanie ludności do gwałtów.

Obrazki członków Sokola w mundurach, używanych w Galicyi, już same w sobie, bez wszelkich uwag, zdaniem sądów pruskich, zawierają podburzanie rozmaitych warstw ludności do gwałtów. Przedkładam tutaj dwie takie pocztówki: na jednej chorąży Sokoła, na drugiej ćwiczenia lancami.

Ponieważ panowie, czego panom wcale nie mogę brać za złe, prawdopodobnie powątpiewacie o prawdziwości moich twierdzeń, przeto składam tutaj wyrok odnośny Izby karnej w Ostrowie, z dnia 4-go stycznia 1905 r. Panowie będą z pewnością ciekawi poznać uzasadnienie wyroku. Jest to uzasadnienie szematyczne, coś w rodzaju formuły. Oczywiście wynalazł ją kiedyś jakiś genialny prokurator; następnie z oskarżenia przepisywano ją w wyroki i teraz powtarza się ją prawie dosłownie we wszystkich sądach pruskich. W wyroku rzeczonym jest najpierw mowa o dążnościach towarzystw sokolich, mianowicie, że celem ich jest odrodzenie narodu polskiego, a dalej brzmi ono dosłownie: ,

Przez masowe szerzenie takich pocztówek wśród ludności polskiej, odznaczającej się żywym i lekko podniecającym się temperamentem, który oddaje się łatwo sangwinicznym nadziejom, obudza się niezadowolenie z istniejących stosunków prawno-państwowych i pragnienie gwałtownej zmiany tych stosunków przez odbudowanie Królestwa Polskiego. Dla tego szerzenie odnośnych kart, mianowicie ze względu na istniejący antagonizm pomiędzy Niemcami a Polakami, ze względu na silne poczucie narodowe i drażliwy temperament ostatnich bardzo łatwo przyczynić się może do zagrożenia pokoju publicznego i wywołać przypuszczenie, że pomiędzy poddanymi niemieckiego i polskiego pochodzenia może przyjść do gwałtów i to właśnie skutkiem tego podburzania, obudzającego wzajemne rozgoryczenie.

Uwagi, zdaje mi się, są zbyteczne.

Mam jeszcze ciekawsze przykłady. Według odczytanego codopiero uzasadnienia wyroku muszą obrazki, które np. ilustrują jedynie pewne wydarzenia z historyi polskiej, według tej pruskiej myśli sądowej, zawierać już same w sobie podburzanie do gwałtów. Wątpliwa zasługa wyciągnięcia tej logicznej konsekwencyi przypada w udziale Izbie karnej w Poznaniu.

Przedkładam panom tutaj cztery obrazki malarza Walerego Eliasza, przedstawiające wydarzenie z czasów walk o niepodległość pod Tadeuszem Kościuszką na końcu 18-go stulecia. Jeden obraz przedstawia poświęcenie szabli Kościuszki w kościele Kapucynów w Krakowie, drugi Kościuszkę przeglądającego milicyę narodową, trzeci bitwę pod Racławicami przeciwko Moskalom, a czwarty tarnsport dział rosyjskich, zdobytch pod Racławicami, do Krakowa. To jest wszystko. Uwagi z mej strony niepotrzebne. — Panowie oglądacie zdumieni te obrazy i widocznie powątpiewacie o słuszności moich twierdzeń, że w tych obrazkach dopatrzono się podburzania ludności do gwałtów. Ale tutaj mam wyrok w ręku i to wyrok poznańskiej Izby karnej z dnia 2-go stycznia 1904 roku. — Jest to oczywiście dowód, nie wiem, czy narodowego zaślepienia, czy braku samodzielności, ale w każdym razie nie dowód — sprawiedliwości!

Nawet pieśni przeznaczone dla dzieci mają zdaniem sądów pruskich zawierać występek przeciwko § 130 kodeksu karnego. Odczytam panom pierwszą, najwięcej inkryminowaną zwrotkę takiej pieśni, ułożonej przez Noskowicza:

Nie smuć, nie smuć dziatwo droga,
Że na własnej ziemi więzy —
Bo przed tobą przyszłość błoga
Skruszy jarzmo i zwycięży.

Pieśń samą składam na stole Izby. Ma ona zawierać podburzanie do gwałtów według wyroku Izby karnej w Poznaniu z dnia 3-go lutego 1906 roku.

Słuchajcie! słuchajcie!)

M. p., nawet gry dla dzieci zdaniem sądów pruskich zawierają podburzanie warstw ludności do gwałtów. Składam na stole Izby taką grę p. t. „Lech", gra narodowa dla dzieci przez J. Chociszewskiego. Jest ona znaną pod zaborem pruskim od lat 30. Ta „niebezpieczna" gra, za którą prokurator żądał miesiąc więzienia, ma 160 numerowanych pól. Na jednej części z nich znajdują się wydarzenia z historyi polskiej. Reguły gry są następujące:

Biorący udział w grze dają jako składkę n. p. 5 orzechów, 2 jabłka lub grosz.

(Wesołość.)

Każdy z grających rzuca po kolei kostkami. Ile ów rzuci, tyle miejsc się posuwa. Jeżeli natrafi na pole z wydarzeniem historycznem, idzie naprzód lub cofa się.

Ze względu na te reguły, mianowicie ze względu na posuwanie się naprzód przy historycznych zdarzeniach pomyślnych dla Polaków, a cofanie się przy niepomyślnych, dalej, ze względu na fakta historyczne w grze wymienione, jak n. p. podziały Polski, walki Kościuszki o niepodległość, powstanie pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła" we Włoszech, powstanie w roku 1831 i fortece pruskie, w których Polacy pokutować musieli, skonfiskowała prokuratorya gnieźnieńska ową grę, upatrując w niej przestępstwo przeciwko § 130 kodeksu karnego.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków).

M. p., zapewne nie znajdzie się nikt w wysokiej Izbie, który broniłby podobnego zastósowania prawa. Ale kto z tych panów, którzy popierają pruską politykę antypolską, będzie miał odwagę przyznać, że sądy spadły do stopnia władz administracyjnych,

(bardzo słusznie! u Polaków)

że sądy pruskie nie wymierzają prawa, lecz uprawiają politykę? Jest to gospodarka pruska, która dyskredytuje zupełnie powagę niemieckiego stanu sędziowskiego.

(Bardzo słusznie!)

W szerokich kołach ludności polskiej panuje skutkiem tego zdanie, że ci sędziowie pruscy przy wydawaniu wyroków postępują wbrew lepszemu przekonaniu.

(Dzwonek marszałka.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

4) (Ciąg dalszy.)

Wszedł do sieni, ona poszła na drugą stronę budynku, wchodząc we drzwi od pola. Mieszkała „kątem“ przy rodzinie karbowego Lisunia. Właśnie wraz z żoną i trojgiem dorastających dzieci, kończyli wieczerzę.

— Laboga, Lizuniu, ani nie wiecie, co się we dworze dzieje, zawołała zaraz ode drzwi. Pietrka i Walka biorą do wojska, na wojnę. Zeszli się w kredensie i Pietrek i ona i Walek i różnego narodu moc, tak to wszystko krzyczy, desperuje, że jest czego posłuchać. Piotrkowa do cna zesztywniała, Józka zda się ogłupiała, hece wyprawia, warto popatrzeć.

— Pójdę tam, matusiu, na chwilę, odezwała się, zrywając z miejsca starsza córka Lisuniów.

— I ja też, — zawołała młodsza.

— Dałybyśta pokój, warto to na ludzką biedę poglądać, ot głupie sroki — gderała matka, ale sama okrywała się już chustką, zmierzając do wyjścia, za nią wybiegły obie dziewczyny. Lisuń wąsy otarł, miskę odstawił i wziął czapkę w rękę.

— Jasiek, daj tu baczenie na izbę — rzekł do syna.

Gdy stary drzwi za sobą zamknął, zwróciła się Kazimierka do chłopaka.

— A tobie nie ciekawość? Nie pójdziesz?

— Tatuś kazali izby pilnować.

— Ja przypilnuję.

— Choćbym i poszedł, to mnie przepędzą.

— To też nie idź do pokoju, ino ze dwora przez okno popatrz.

Chłopak nie dał sobie dwa razy tego mówić i tak jak stał, bez czapki nawet, wybiegł z izby. Kazimierka w tej chwili drzwi zasunęła, poduszkę rzuciła na stół w ten sposób, że zasłoniła okno, poczem z bijącem sercem zbliżyła się do kufra Lisunia. Odsunęła od ściany, schwyciła siekierę i kilkakrotnem uderzeniem wybiła otwór w tylnej desce, nisko przy podłodze. Chwilę posłuchała trwożnie, czy kto nie idzie, ale uspokojona ciszą, przyklęknęła, wsunęła rękę i długą chwilę szukała czegoś w kufrze. Wreszcie wyciągnęła paczkę zawiniętą w czerwoną chustkę. Zajrzała do niej, oczy jej się rozpromieniły. Wyrąbany kawałek deski i trochę drzasek rzuciwszy na ogień, a siekierę w kąt, kufer znowu przysunęła do ściany, poczem wyjęła ze swego kuferka lepszy przyodziewek, oraz trzewiki, co zawinąwszy w nową chustkę, węzełek wyniosła i ukryła za drzwiami sieni. Poduszkę położyła z powrotem na łóżko i drżąca trochę zajęła się gotowaniem wieczerzy. Po kilku chwilach drzwi się otworzyły gwałtownie i do izby wbiegł Jasiek.

— No co, jużeś wrócił? — zapytała Kazimierka.

— Et, nie było na co patrzeć, widziałem kilkoro ludzi i panienkę. Stała po środku i płakała, Józia też płakała i Bronka też płakała, a Pietrek ryczał i Pietrkowa też ryczała, a tatulo zaraz poszli, to i ja zmykłem od okna. O... idą!

Lisuń wchodził właśnie z żoną i córką.

— Oj Kazimierko — rzekł w progu — było nas po co na tę słotę gnać! Że tam kilkoro beksów się pobeczało, a kilkoro gapiów się zagapiło, to już i nam trza było tam iść?

— Ot zwyczajna głupia sroka — dodała Lisuniowa — dla niej byleby krowa ogon zadarła, to też widowisko. A co tam robisz wedle komina?

— Ziemniaki z obiadu ostały mi, to je sobie odgrzewam.

Zjadła pospiesznie i wyszła do sieni.

— I kaj to znów polazło? — zapytał Lisuń.

— A gdzieby jak nie do Antka. Może i on pójdzie na wojnę — odparła żona.

— E, gdzie zaś! Gdyby miał iść ,narobiłaby tu Kazimierka rwetesu co niemiara.

— Może po niego nie przyszło jeszcze wezwanie?

— Jak nie przyszło, to już nie przyjdzie. Oni to rekrutów nie dzielą na poręby.

— Może i nie wezmą, ale Kazimierka i tak mu nocy nie daruje.

. . . .

Tymczasem w przyległej izbie inna rozgrywała się scena.

Antek, wszedłszy w czapce nasuniętej na oczy, rzucił złe spojrzenie na reperującą odzienie starą swą żonę i siedzącego przy niej pięcioletniego chłopczyka — idyotę. Ona podniosła się z westchnieniem i poczęła przyrządzać kolacyę. Siedział kilka chwil milczący, z głową ukrytą w dłoniach. Nagle podniósł ją i rzucił żonie.

— Wiesz, biorą mnie!

— Do wojny?

— Do wojny!

Kopystka, którą trzymała w ręku, upadła na ziemię, a jej wargi poczęły drżeć jak we febrze, nie rzekła jednak nic, podniosła kopystkę, utarła fartuchem i wróciła do ubijania kartofli.

Zapanowała cisza ciężka, brzemienna bólem dwóch dusz rozżalonych, krzywdzących się wzajemnie skargą o złamane życie. Nagle wśród tej ciszy ponurej rozległ się śmiech przejmujący, przykry, podobny do chichotu puchi, śmiech chłopca idyoty, któremu udało się pochwycić i rozgnieść spuszczającego się z sufitu pająka. Antek drgnął i porwał się z ławy.

— Bodajś zdechł! ognisto duszo! — krzyknął, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Konarka podała wieczerzę. Gdy Antek jeść zaczął, stanęła naprzeciw niego i skubiąc fartuch mówiła nieśmiało.

— Czy ty tu, czy na wojnie, to dla mnie wszystko jedno... i takieś nie mój, jeno onej, tej wywłoki!... Ale mi cię żal, bo nie na wesele pójdziesz, ino na ciężką biedę, na nędzę, może śmierć. Dobryś dla mnie nie był, i grosze coś zachwycił, toś na nią tracił, ale zawdy była ordynarya, a tera przyjdzie samej o kawałek chleba dla mnie i dla dziecka się starać.

— Ojców masz, krzywda ci nie będzie. A jeśli mnie zabijom, to se weźmiesz drugiego, jeszcze młodszego!

— Nie urągaj, Antek! Jużeś ty mi tyle za skórę zalazł, że tero, choćby drugi ze szczyrego złota był, to bym nie poszła za niego.

Nastało znowu milczenie. Antoniowa nalała miseczkę polewki dziecku i patrzała, jak jadło, pospiesznie i łapczywie. Gdy zabrała z przed niego pustą miskę i otarła mu brodę, znów zwróciła się do męża.

— Antek.

Nie słyszał pogrążony w ciężkiej zadumie.

— Antek!

— Co?

Przysiadła przy nim na ławie i chwilę pozostawała milcząca, namyślając się, jakby onieśmielona.

— Antek — rozpoczęła znowu — pamiętaj przed tą wojną wyspowiadaj się. Siła grzechów masz na sumieniu i moją krzywdę masz na duszy, to jakbyś w takich grzechach umarł w piekle gorzałbyś na wieki.

Wstał, odtrącając ją brutalnie ramieniem.

— Gdzie paszport? — zapytał.

— A na co ci paszport?

— A jakże mi do gminy iść przez paszportu?

— Dam ci sama. Ale po co już bierzesz, toć na noc chyba nie idziesz.

— Ale do dnia; nie będę cię potem budził.

— Nie prześpisz ostatniej nocy doma?

Nie odpowiedział nic, wdziewając pospiesznie lepszy przyodziewek. Patrzała na niego, a twarz jej przybierała coraz ostrzejszy, coraz surowszy wyraz. Włożył czapkę i do drzwi się skierował gdy jednak ujął za klamkę, zawahał się i odwrócił ku niej. Popatrzył chwilę, potem pokornym ruchem czapkę z głowy ściągnął.

— Jeżeli umrę, to nie pomstuj na mnie, ale miej miłosierdzie nad moją duszą.

— I Adasia nie pobłogosławisz? Ostatnie, co usłyszał z ust twoich, to: — bodajś zdechł!

— Abo by mu to nie lepiej było?

Ale ja nie chcę! Nie chcę! Co mi ostanie na świecie, jeżeli on zamrze!

Wybuchnęła płaczem. Antek zbliżył się do dziecka, które usnęło na stole, pocałował w głowę i krzyż nad nią uczynił, potem przychylniejsze już spojrzenie rzucił żonie i szepnął:

— Ostań z Bogiem!

Zamknął drzwi za sobą. Stała chwilę na środku izby z zaciśniętemi boleśnie usty, nagle porwała się i jednym susem na progu sieni się znalazła. Antoni zaledwie uszedł kilka kroków.

— Antek! Antek! — krzyknęła rozkazującym głosem.

Przystanął zdziwiony.

— Antek — mówiła z siłą — żeś mi za serce, za kochanie krzywdą odpłacił, darowałam ci. Żeś mnie klon i bijał, darowałam ci, żeś z tą szelmą się zadawał, żeś na nią nasze pieniądze tracił, darowałam ci, ale, że z nią tę ostatnią noc spędzisz, że wtedy, gdy mnie, twojej żonie, serce pęka, ty mnie odstępujesz, a do niej idziesz, nie daruję ci nigdy, ani w godzinę śmierci twojej, choćbyś się tu u moich nóg w męczarniach wił. Bodaj cię pierwsza kula nie minęła, bodajś konał w mękach, bodaj nie było komu oczu ci zamknąć, bodaj nie było zmiłowania dla twej duszy. Za moją krzywdę, za moje łzy, za moje zmarnowane życie.

Ponury wicher jesienny niósł jej głos ochrypły, nabrzmiały bezdennym bólem. Uciekał coraz prędzej przed tą powodzią klątw, kołnierz nastawił na uszy, lecz słyszał je pomimo to, wypełniały mu cały mózg, całą duszę. Przebiegł świerkową aleję, smagany klątwami temi jak biczami, potem skręcił na lewo, gdzie na przewróconej belce siedziała Kazimierka, mając u nóg węzełek z rzeczami. Nie umawiali się gdzie się spotkają, a trafili do siebie od razu, wiedzeni instynktem spełnionej wspólnie zbrodni, czy też popędem silnej żywiołowej miłości.

Podniosła się i ujęła go za rękę. Obejrzał się wylękniony.

— Silnie klena — szepnął.

— Choroba z nią! chodź.

Pociągnęła go za rękę, opierał się niespokojny.

— Paszport masz?

— Mom.

— I znów przystanął.

— Ale pieniędzy nie wzienem — szepnął nieśmiało — bardzo stara pilnowała.

— O pieniądze się nie turbuj, mam ich jak lodu.

Pociągnęła go znowu; poszedł za nią, ale drżał i powtarzał cicho:

— Strasznie! strasznie klena!

I weszli w ciemny, głucho szemrzący bór.

V.

Blade, październikowe słońce weszło nad pustemi ścierniskami i szmatami oranej ziemi, srebrząc pajęczyny babskiego lata, włóczące się za lekkim powiewem wiatru, uwydatniając krasę jarzębin, kalin i wilczych jagód.

Drogą od wsi do dworu szła gromadka chłopów, bab i dzieci. Kobiety i malcy pozostali przy drzwiach kredensu, mężczyźni weszli do dworu.

— Niech będzie pochwalony — rzekł wchodząc pierwszy Bartłomiej Naszczyk. — Dziedzic jest?

— Jest — odrzekła Józia, podnosząc zaczerwieniałe oczy od miski, w której zmywała szklanki.

Przyśliśwa się pożegnać z państwem.

— Bronka, skocz do pokoju i powiedz, że gospodarze przyszli się pożegnać.

Bronka pobiegła i wróciła za chwilę.

— Dziedzic powiedział, żeby weszli do stołowego — rzekła, otwierając drzwi szeroko.

Zaczęło się chrząkanie, wycieranie nóg, wypychanie wzajemne. Wreszcie wszedł pierwszy Teofil Browarski, wysoki blondyn, o szlachetnej, słowiańskiej twarzy. Za nim wsunęli się inni.

Pani Orczyńska i Jan wyszli naprzeciw nich poważni, uroczyści. Wanda, siedząc na oknie, wzruszona przyglądała się gościom.

— Przyśliwa państwu piknie się pokłonić — rozpoczął Browarski i jeżeliśma kiedy skrzywdzili, czy przykro przyśli, pokornie przeprosić, bo to idziemy na śmierć może, niewiadomo czy ta którego kula minie.

I poczęli kolejno całować rękę pani domu i ściskać kolana obojga.

— Idźcie z Bogiem — mówiła pani Orczyńska ze łzami w oczach. Posłałam dziś na mszę św. na waszą intencyę a później w modlitwach nie będę o was zapominać. Miejmy nadzieję, że Bóg będzie łaskaw.

— Nie upadać tylko na duchu, moi przyjaciele, chociaż tam któremu przyjdzie parę kwart krwi przelać, to mu właśnie ta zła ubędzie i stanie się potem dobry jak baranek — mówił jowialnie pan Jan.

— A jeżeli który zginie, to widać tak mu sądzono, to choćby ostał, zamrze choć w polu przy pługu — dodał flegmatycznie Kostek Pałąk.

— Jedno najgorzej boli — rzekł znów Browarski — to to, że człek tak nie wie, za co ma na śmierć iść, bo gdyby mi kto powiedział, że trzeba, żebym za moją wiarę zginął, to zaraz tu głowę pod topór położę. Ale tak, za cudzy naród...

— Co to cudzy! — przerwał Wincenty Niekrasz. — Wrogi! Zabrali nasz kraj, zabrali Finlandyę, Kaukaz, a teraz im się Mandżuryi zachciało i my dlatego mamy naszą ziemię i rodziny opuścić i na śmierć się narażać!

— No, no, to wy wiele wiecie — rzekł Jan. — Pewnie gazety czytacie?

— Już sześć lat, jak „Zorzę“ prenumeruję — odrzekł wyprostowując się dumnie. — „Polaka“ też często gęsto odbieramy.

— Któż wam go przysyła?

— Bo ja wiem! Przyjdzie od czasu do czasu to na moje ręce, to na ręce Browarskiego, koperta, na której stoi wydrukowane: to skład maszyn rolniczych, to nasion, a w niej ino gazeta na cieńkim papierze drukowana. Tam wszystko stoi wypisane, jacy byliśmy, jacy być powinniśmy, czego się strzedz, czego szukać.

— I niech Pan Bóg da zdrowie tym, co to wysyłają. Po książce do nabożeństwa to nasze najpierwsze czytanie, — dodał Browarski.

— Chciałem się spytać wielmożnego dziedzica — odezwał się, występując naprzód Franek Iglarz — czy to prawda, jako, że tych, którzy mają więcej jak troje dzieci, nie będą posyłać na wojnę, ino tak po miastach rozmieszczą.

— Prawdopodobnie.

— Chwała Bogu, mam pięcioro.

— Ja ino troje — westchnął Pietrek Okraj.

— Niezdara chłop — odezwał się zawsze wesoły Walek. — Sześć lat jak się ożenił, to powinien już piątkę mieć.

Roześmiali się wszyscy, ale śmiech ten został przytłumiony zgiełkiem, jaki powstał w kredensie.

Do kredensu wpadł Lisuń, wołając od proga:

— Okradli me! Jezu Nazareński do cna okradli me!

Za nim wsunęła się żona i córki napełniając pokój płaczem i lamentem.

— Kto was okradł i z czego? — zapytał Jan.

— Wszystko com miał, com tyle lat ciułał ja i kobieta, cośmy sobie od gęby odejmowali, wszystko nam zabrali, wszystko!

— Kiedyż się to stało?

— Wczorajszego wieczora.

— Jakieśmy do dworu pobiegli.

— Gdy o mobilizacyi przyszła wiadomość.

Wołały razem matka i córki.

— Cicho, nie gadajcie wszyscy razem, bo nic nie rozumiem. Niech Lisuń opowie.

— A to wielmożny dziedzicu tak było. Moma skrzynkę zieloną, dwa zamki przy niej; kużden inszym kluczem zamykany, a klucze moja kobita zawdy przy szkaplirzu na piersi ma. Dzisiok patrzę ja, na kominie wedle fajerki leży drzazga zielona. Myślę: jesce takie po te czasy w boru nie rosły. Biorę drzazgę, oglądam — rychtyg jak od mojego kufra. Myślę: któreś rąbało drzewo wedle niego i udziubło siekierą. Zaczonem oglądać kufer — całuśki! Coś mnie tchneno — odsunenem kufer. Chryste Panie. Wyrąbana dziura tyle bez mała jak ta czapa i jakieś gałgany przez nią wyglądają. Ja na starą: otwieraj kufer! Otwieramy. Z wierzchu wszystko piknie, ładnie, nietknięte. Ino z dołu pieniądze, co w chustce zaszyte beły...

Tu Lisuń zaszlochał, wtórowały mu kobiety cieńkim dyszkantem.

— No i na kogo macie podejrzenie?

— Dziedzicu, to domowy złodziej beł.

— To sie wi, to sie wi — przytakiwali chłopi.

— Nikt inny tylko ta klempa, ten wycieruch, ta ladacznica Kazimierka — wołała z płaczem Lisuniowa.

—Juści ona, wywłoka. Wczoraj wysłała nas patrzeć, jak Piotrowie i Józka płaczą, jakby beło na co. Poszli my, bo człek zawdy głupi, a bliźniemu dufający. Chłopakam ostawił izby pilnować. Pytom go dziś: Beleś? — Belem. — Cały czas? — Całuśki. Dopiero jakiem wzion pasem skórę rżnąć, krzyczy: wyszedem, bo mi Kazimierka kazali.

— A ona na noc nie wróciła?

— Ona ta mało którą noc doma przespała, to nam i nie było dziwno, że wczora wyszła; myśleli, że do Antka, do stajni poszła.

— A kaj-że to Antek?

— Nie było go z nami do obroku — odezwał się Pietrek.

— Pewnikiem uciekł razem z tą łajdaczką z naszemi pieniędzmi.

— Ady on popisowy.

— Do mobilizacyi należący.

— Rety! jak go złapią — to kula w łeb.

— Nie żal by go było — gałgan chłop.

— A może w chałupie jest.

— Może zachorzał.

— Skocz ta który do chałupy.

— Jeżeli go nie zastaniecie, powiedźcie kobiecie, żeby tu przyszła — rzekł Jan. — Do gminy też trzeba dać znać niech policya śledzi.

— Gdzie co wyśledzi! Abo to będzie siedzieć między nami? Musiała za granicę myknąć.

— Już kawał w Prusach musi być.

— Abo to nie zna drogi? Przez sześć lat rok po roku na robotę tam chodziła.

W tej chwili zadyszany wbiegł do pokoju Józek Iglarz, który do izby Antka był pobiegł.

— Uciekł huncwot, uciekł i on, — wołał. — Kobita peda, że jeszcze na wieczór paszport wzion, lepszy przyodziewek włożył, dzieciaka pobłogosławił i poszedł.

— A to jucha!

— To już ta cacana Kazimierka go podmówiła.

— Patrzta, patrzta, idzie Antoniowa i swego dzieciaka wiedzie.

— Idzie tu.

— A juści jest już w kredensie.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Konarka Wysoka, chuda, z oczyma czerwonemi od łez, z ustami zaciśniętemi w jakimś wielkim, nadludzkim bólu, szła prowadząc za rękę chłopczynę kręcącego główką monotonnym ruchem i spoglądającego z bezmyślnym uśmiechem wielkiemi blademi oczyma. Chłopi nienawykli do galanteryi mimowoli usuwali się, robiąc miejsce temu posągowi cierpienia. Zbliżyła się do Jana, schyliła do kolan, a potem wyprostowawszy się, ręce skrzyżowała na piersiach, patrząc mu w oczy, jakby gotowa do badań i zeznań.

— No, moja Antoniowo, rzekł łagodnie Jan, jak myślicie, gdzie poszedł wasz mąż?

Usta jej drgnęły jak do płaczu, zacisnęła silniej wargi i milczała.

— Sądzicie, że poszedł z Kazimierką?

Milczała.

— Wiecie, że ta łajdaczka zabrała pieniądze Lisuniowi? — wtrącił Niekrasz.

— A wasz może też pieniądze wziął? — pytał Nigocki.

— Niewiele by ich ta znalazł, fornal to nie karbowy, — mruknął, niechętny Lisuniom Noszczyk.

— Zawdy trochę grosza mogło być!

— Patrzaliśta? Zabrał, czy nie?

Konarka milczała, tylko broda jej drżeć zaczęła, więc ujęła ją w garść, ściskając konwulsyjnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

10)

Raz jeszcze powtarzam, że sam będąc, lubiałbym cierpieć, i Ty Boże, który czytasz w mem sercu, widzisz, że to mówię najszczerzej... Ależ Albina, ta nieszczęśliwa, wzniosłego heroizmu ofiara, czyż powinna męczyć się przy mnie? czyż ma konając, zgasnąć jak świeca, niedoświadczyć słodyczy życia? Czyż to my wreszcie bydlęta, a nie ludzie, których Bóg chciał mieć wolnemi? a oczekiwane dziecię? czyż znowu ma paść ofiarą wiosennego klimatu ...

O Boże! nie zsyłaj na nas tego ostatniego ciosu, o! nie zapomnę ja nigdy, jak biedna matka, leżąc na małym trupie, tchem swoim już napsute ciało ożywić chciała? Czyż ta scena ma się jeszcze powtórzyć? i któż mię zaręczy, że ona ją przeżyje? a wówczas, czyż słusznie nie będę miał sobie do wyrzucenia, że moją gnuśnością i bydlęcem życiem zgubiłem tę, którą powinienem był uratować?... O! nie, takiej zbrodni i Ty Boże nie mógłbyś mi przebaczyć!

Takie to myśli i rozumowania, zajmując moją głowę, usprawiedliwiały mój postępek.

Do Uralu zostawało mi jeszcze pół wiorsty. Szedłem więc spiesznie, bo myśl, żeby Albina długo nie czekała, nie wychodziła z mej głowy. Nakoniec przyszedłem do rzeki. Ale tu nowe trudności znalazłem. Ural pokryty był lodem, zmuszony przeto byłem, chodząc po rzece, upatrywać stosownego miejsca, lecz nad przerębel, blisko domów kozackich, z której oni wodę czerpali, nic innego nie znalazłem. Przerębel ta w grubym lodzie zrobiona, także była zamarznięta, lecz uderzenie kilku razowe obcasem, przebiło cienki, bo dopiero z wieczora zmarznięty lód i o dziwna i niepojęta naturo ludzka! pragnąłem i starannie szukałem otworu, a zrobiwszy go, przeląkłem się.

Lecz przyszedłszy nieco do siebie z mimowolnego do tego otworu wstrętu, i obejrzawszy się na wszystkie strony, rozwinąłem zawiniątko, i rozrzuciwszy po lodzie będące w niem odzienie, przebrałem się znowu stósownie do potrzeby, zacząłem uciekać od tego miejsca, po pod brzeg miasta mię zasłaniający, i tak biegnąc bez odpoczynku, więcej pół wiorsty, z nadzwyczajną trudnością, wdrapałem się na stromy i oberwany brzeg, i tylko co wszedłem w ulicę, gdy tentent galopem biegnącego konia po za sobą usłyszałem.

Przelękniony, nie wiedziałem co począć z sobą; noc miesięczna! domy pozamykane, bramy i furtki także starannie zamknięte, schować się niepodobna, a uciekać niebezpiecznie. O Boże! wszystko przepadło! pomyślałem nieszczęśliwy! niezawodnie ktoś zobaczył, jak po lodzie odzienie rozrzucałem i pędzi za mną.

Takiemi myślami byłem strwożony, gdy o kilka kroków za sobą, usłyszałem dopędzającego mię jeźdźca, który przenikającym do mej duszy głosem „stój!“ zawołał.

II.

Ale wróćmy do Albiny, bo i ona równie w nieszczęśliwym znajdowała się stanie. Ona po mojem wyjściu w modlitwie tylko szukała pomocy. Klęcząca przed obrazem Najświętszej Panny, z rozpuszczonemi w nieładzie włosami po białej szyi, w górę wzniesioną twarzą i rękoma, cała we łzach, błagała Ją, aby przez pamięć na swoje cierpienia, z góry na nią wejrzała i za równie cierpiącą i bolejącą, przyczyniła się.

Cały ogrom niebezpieczeństwa, na jakie byłem wystawiony, teraz dopiero przedstawił się jej przed oczy. Teraz dopiero w samotności rozmyślając, spostrzegła, że cała scena, z początku tak mało znacząca, najtragiczniejszy koniec przybrać może. Teraz dopiero wreszcie przypomniała sobie, co ja niegdyś opowiadałem, t. j. jak zesłani do Omska za przewinienia polityczne nasi rodacy, odkryci w zamiarach ucieczki, podług całej surowości prawa, pałkami byli zabijani. Myśl ta wstrząsała nią całą, i z obawy aby się ze mną coś podobnego nie stało, zadrżała biedna, i przedsięwziętego projektu żałowała.

Takiemi okropnemi myślami i przeczuciami dręczona, wpadła w stan prawie obłąkaniu podobny. Jasne i wielkie jej oko, wytężające swoją źrenicę, nadało jakiegoś strasznego i dzikiego wyrazu jej twarzy, który jeszcze za mało, apatyą nazwać; rysy jej zawsze miłe i łagodne, w jednej chwili przybrały ten konwulsyjny odcień epilepsyi, który tylko na łonie śmierci widzieć się daje, i z którym długo pasujący się śmiertelnik, w ostatniej godzinie umiera.

Ani drgnęła ta nieszczęśliwa i na pozór martwa ofiara, niekiedy tylko skostniałe prawie ręce i dłonie wznosiła w górę, dotykała piersi i głowy, i odrzucała je nagle ku ziemi, jakby usiłowała odbić grożące nam pociski.

O! ileż to mąk i walk, wrzało w jej duszy!...

Biedna Albina błagała nieba, ażeby wszystko złe od nas odwróciło, a jeżeli potrzeba będzie ofiary, prosiła, aby ona nią była. Ona już na mnie, nie jak na męża i na kochanka patrzała, ale jak na rodaka, wygnańca, i nieszczęśliwą, prześladowaną ofiarę. Dla tkliwego i czułego serca, to już jest dosyć. Lecz dodajmy do tego męczącą ją ciągle wyobraźnię, że ja sam jeden będąc, nigdy bym się na to nie odważył, winiła siebie, swój przyjazd i swoją miłość, i dla tego krwawemi łzami się oblewając, gorąco się modliła.

W takim stanie znajdowała się ona długo. Nakoniec wstała i z rozpaczą chodziła po pokoju.

Spojrzawszy na zegarek, rzekła:

— O Boże! już w pół do drugiej, gdzie on tak długo być może?...

— Magdusiu! czy daleko do Uralu?...

— Daleko pani.

— Daleko, mówisz... więc jeszcze nie przeszedł czas, w którym pan wrócić powinien?...

— O! nie pani! niech pani będzie spokojna, tam trzy wiorsty, napowrót trzy, to tak prędko wrócić nie można.

— Masz racyę Magdosiu, uspokoiłaś mię nieco.

I biedna! jej się zdawało, że ją uspokojono, gdy tymczasem siedząc pod oknem, z natężonym słuchem i z wlepionem ku stronie mojego przychodu okiem, pomimo, że okiennice były zamknięte, cała się w słuch i wzrok przemieniła.

— Magdusiu! wszak siedm wiorst można ujść w godzinę?

— Nie wiem pani, jak do chodu!...

— A pamiętasz? Janek, on bywało z Paniowic do Kudrynic, chociaż prawie mila, wracał zwykle w godzinę.

— Prawda, ale Janek był młody — odpowiedziała ziewająca Magdusia.

— Niewiedzieć co gadasz Magdusia, niby to pan stary.

— I to prawda, ale Janek się spieszył, bo było coś takiego, co go do domu ciągnęło.

— I cóż to było takiego, co go jak powiadasz, do domu ciągnęło — zapytała Albina z niechęcią.

— Ja byłam! on, pamięta panna, chciał się ze mną żenić, i gdyby...

— Ot to także! poprawiłaś się! a niby to pan nie zostawił nic takiego, co by go jak utrzymujesz, do domu ciągnęło — przerwała zagniewana, że śmiano powątpiewać o mojem do niej przywiązaniu.

— Tak, ale pan jest już mężem, a Janek był kochankiem.

— Eh! pleciesz jak śpiąca, moja Magdusiu!

— Oj! nie pani! nie plotę, jest różnica, przypomnij sobie pani.... panną...

— Sz... cicho! słuchaj! ktoś idzie ulicą — przerwała Albina — idź! otwórz Magdusiu.

I Magdusia wyszła i otworzyła furtkę, i popatrzyła na ulicę. I na ulicy widno, bo księżyc w pełni i jak ulica długa i szeroka, a nic nie zobaczyła, prócz srokatej krowy, zwolna postępującej. Zamknęła furtkę, i powróciwszy, powiedziała pani swojej, co widziała.

I nieszczęśliwa Albina w okropnem była wzruszeniu. Popatrzyła na zegarek, było już po drugiej.

— O mój Boże! mój dobry Boże! już dwie godziny jak poszedł, coś okropnego spotkać go chyba musiało! — łamiąc ręce zawołała.

— Magdusiu! wyjdź na ulicę... popatrz... może spotkasz... dojdź do kancelaryi atamana, uważaj... wyśledź...

może jaki ślad poweźmiesz... czy jakiego ruchu nie usłyszysz... idź na o...dwach... może pana a...resz...towa..,

I nieboga nie mogła dokończyć tego ostatniego słowa, zakończenie jego zastygło jej na ustach, ściśnięte od boleści serce i wysilona dusza, zdrętwiała, upadła i zemdlała.

Przestraszona Mgdusia rzuciła się na ratunek, zpryskiwała ją wodą, wierciła jej w uszach palcami, wszystko naprożno! rozciągnięta na podłodze leżała jak trup nieruchoma biedna moja męczennica! W całym domu w tak spóźnioną porę, jedna tylko żyjąca Magdusia, nie wiedziała co począć i jak sobie radzić. Biedz do sąsiadów? nierozsądnie dla naszych planów, i niebezpiecznie samą jedną na pół umarłą zostawiać panią... a Lewiński jeszcze nie wrócił. Przelękniona chciała krzyczeć, ale z przestrachu głosu wydobyć z piersi nie mogła. Biegając jak szalona po pokoju, chwyciła łyżkę i wkładając ją w zlodowaciałe usta pani i z trudnością wiercąc nią, dobyła nakoniec westchnienie z jej piersi.

Odzyskawszy przytomność i zebrawszy myśli, powoli zapytała:

— A co Magdusiu, nie ma?...

— Nie ma, pani — odpowiedziała zapłakana poczciwa sługa.

— No, proszę cię Magdusiu, idź już, wiesz o co rzecz chodzi.... tylko na Boga proszę cię, spiesz się.

I Magdusia poszła, samą jednę w domu zostawiwszy. Chodziła po ulicach, i około domu atamana przeszła się parę razy, i do odwachu podeszła, i na placu moment postała i przysłuchiwała się, i oglądała się i nic nie zobaczyła, nic nie słyszała i tak do domu powróciła.

Na podwórzu u furtki, czekała na nią Albina.

— A co Magdusiu? — drżąc od zimna, zapytała.

— Ani słychu, ani duchu — odpowiedziała.

— O Boże! dodaj mi męztwa i cierpliwości! — zawołała i weszła do pokoju.

— Już po trzeciej! — krzyknęła, popatrzywszy na zegarek. I nie mogąc nawet płaczem ulżyć swoim cierpieniom, usiadła na sofie, i przez chwil kilka zostawała.

— Magdusiu! co byś ty robiła w takim przypadku?

— W jakim, pani?

— A w takim, w jakim ja się znajduję.

— Rzuciłabym się na szyję, i całowała pana, który teraz, tu idzie.

I rzeczywiście, o wpół do czwartej, umówione stuknięcie słyszeć się dało, i kiedy mi drzwi otworzono, ja niebawem pokazałem się. Ocucona jakby z letargu Albina, rzuciła się do mnie, i objęła moje kolana. Strumienie łez, które jej się polały, ulżyły jej biednemu sercu.

— O dzięki Ci wielki Boże! że ty żyjesz, i że ja cię oglądam — ściskając mię, zawołała.

Zdumiony, i widokiem jej cierpienia rozczulony, podnosząc ją skwapliwie i całując najczulej, zapytałem:

— Cóż tobie jest moje życie? zkąd te twoje słowa pochodzą? zkąd obawa? bojaźń i o mojem życiu powątpiewanie?

— Ależ mój drogi, ty tak długo tam siedziałeś, a ja się tu okropnie niepokoiłam o ciebie. Lecz dosyć już o tem, powiedz mi mój drogi, czy wszystko ci się dobrze udało, czy nikt cię nie widział? i czy nic miałeś jakiego wypadku?

I mówiąc to, opatrywała mię na wszystkie strony, macała naokoło, dotykała moich uszu, nosa, ust i głowy, i zdawała się być najszczęśliwszą, że wszystko na swojem miejscu znalazła.

— Wszystko jak najlepiej moje życie! — powiedziałem po ukończeniu przeglądu — bądź spokojna! że długo bawiłem, to rzecz bardzo naturalna i prosta. Wyobraź sobie Ural zamarznięty! trzeba było najmniej godzinę po rzeze chodzić, aby znaleźć otwór, przy którym dla pozoru, mógłbym swoje suknie położyć, to ułatwiwszy, wracałem, lecz z obawy aby mię kto na ulicy nie zobaczył, bo tam widno jak tu w pokoju, co kilka kroków zatrzymywałem się, aby odgłos mego stąpania nie przeszkadzał mi nadsłuchiwać, czy kto z boku, lub z przodu lub z tyłu do mnie się nie zbliża. Był wprawdzie wypadek, że kozak na koniu jadący, zawołał na mnie, abym się wstrzymał, lecz zapytawszy mię, czym jego krowy srokatej nie widział, pojechał w stronę, którą mu pokazałem, poznać mię zaś nie mógł, bo jak widzisz w tym ubiorze, więcej jestem do kobiety podobny.

Albina wysłuchawszy moje opowiadanie, była zadowoloną, i co przed chwilą cierpiała, zapomniała.

— No! Magdusiu — przywoławszy ją, mówiłem — od tej chwili mię już nie ma na świecie, ja już nie żyję. Za parę godzin niezawodnie mię poszukiwać będą. Ty we wszystkich twoich opowiadaniach i odpowiedziach tak prywatnych, jak i urzędowych, udawaj jak chcesz, mów, łżyj jak możesz, żałuj pani, ubolewaj nad nią, słowem rób co ci się podoba, zawsze jednak miej na celu i pamięci, że ja nie żyję, pamiętaj, że bić cię prawa nie mają, straszyć zaś mogą. W takim razie nie lękaj się, krzycz, wrzeszcz, przeklinaj, obwiniaj ich, że mię zabili a ciebie i panią zgubili. Tobie wszystko ujdzie, i włos ci z głowy nie spadnie. Teraz zaś włóż na siebie ciepłą salopę, i udaj się do batalionowego dowódzcy. Przyszedłszy tam, stukaj w bramę co tylko możesz, choćby kamieniem, a gdy ci otworzą, zapytaj ludzi, czy mię tam nie ma? Jak potwierdzającą usłyszysz odpowiedź, płacz i żądaj, aby obudzono pułkownika. Stanąwszy przed nim, zapytaj go, czy on mię aresztować nie kazał? albowiem pani twoja całą noc nie śpi, na mnie czeka i co chwila mdlejąc z rozpaczy prawie umiera. Dodaj jeszcze, że pan twój wychodząc z domu, o godzinie 10-tej wieczór, był okropnie czegoś zmięszany, i żegnając się z panią powiedział jej, że go żołnierz spotkał na ulicy i wezwał do pułkownika; słowem, masz rozum i roztropność, tak więc wszystko urządź, jakbym ja rzeczywiście gdzieś zginął, a pani twoja mię szukać kazała. Wprzód jednak nim pójdziesz do pułkownika, wstąp do profesora tutejszych szkół, pana Orłowa, do naczelnika komory, pana Wornina i do aptekarza Muellera, a że ja w tych domach bywałem, więc po obudzeniu ich mieszkańców, pytaj się o mnie. Tym sposobem wszyscy w nocy potrwożeni, łatwo uwierzą, że ani ty, ani twoja pani nic o tem nie wiecie, co się ze mną stało. Czy pojęłaś mię, i zrozumiałaś wszystko dobrze?...

— Pojęłam i zrozumiałam — odpowiedziała Magdusia.

— Mnie się zdaje — odezwała się Albina — że nie zaszkodziłoby być także i u pułkownika Bizjanowa.

— Dobrze więc, wstąp i tam — powiedziawszy, wyprawiłem ją w drogę.

W godzinę potem, stukanie we drzwi od sieni dało się słyszeć. Ja jako nieistniejący już na świecie, z obawy czy Magdusia z kimkolwiek bądź nie idzie, siedziałem cicho w ukryciu. Albina zaś wyszła, a usłyszawszy znak umówiony, wpuściła Magdusię i drzwi zasunąć kazała. Ja wyszedłszy, szepcąc wypytywałem Magdusię o skutku jej poselstwa.

— Stukanie moje — rzekła ona — pierwszy pułkownik usłyszał, i zbudziwszy człowieka posłał go, aby mi otworzono. Weszłam do izby czeladniej, w której ludzie już nie spali, na zapy...

— Prędzej Magdusiu! prędzej! — przerwałem.

— Zaraz panie, zaraz, wszystko opowiem. Na zapytanie moje o pana, oni odpowiedziawszy mi, że o niczem nie wiedzą, dziwili się i gniewali, że pani tak jest...

— Do rzeczy Magdusiu! co mi tam d...do ludzi, co pułkownik powiedział?

— W ten moment proszę pana, nie można tego opuścić. Otóż, że pani jesteś tak nie dobrą żoną, że zamiast ukryć przed władzą, oddączenie się swego męża z domu, sama pierwsza znać o tem dajesz. „Wielka bieda — mówili oni — pewno gdziekolwiek zasiedział się, nie wypada jednak zaraz biedz na skargę“. Przyznam się państwu, że...

— No! no! nie przyznawaj się, ale gadaj! — krzyknąłem na nią zagniewany.

— Proszę pana, w tej chwili, tylko to skończę, bo to bardzo śmieszne; otóż przyznam się państwu, że mi żal było słuchać, tak krzywdzącej opinii o mojej dobrej pani, i kiedy ja starałam się ich przekonać, że to nie skarga, ale przeciwnie troskliwość z przywiązania do męża wynikająca, oni tego całkiem nie pojęli, a wskazując widoczne znaki nieukontentowania, twierdzili, że oni „chociaż nie panowie,“ a tak by nie postąpili, inaczej mąż wygarbowałby plecy tak niegodziwej żonie. Wejście żołnierza do kuchni, przerwało naszą dalszą rozmowę. Wezwał on mię do pułkownika.

— Co to się stało? Magdusiu? — zapytała mię jego żona, gdym stanęła w sypialnym pokoju.

— Ach pani! moja pani umiera prawie z rozpaczy — płacząc odpowiedziałam.

— Cóż jej jest? — oboje z pospiechem zapytali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

25) (Ciąg dalszy.)

Lola natomiast ani oka zmrużyć nie mogła. Całą noc przepędziła na kanapie w saloniku, układając najrozmaitsze plany na przyszłość. Czego tak gorąco pragnęła, to osiągnęła nareszcie — pomściła się na Gastonie i była na najlepszej drodze otrzymania wszystkich milionów Nory. Bo i Nora musiała umrzeć! Wtedy ona, Lola stanie się jedną z najbogatszych panien w Paryżu i hrabiowie i książęta starać się będą o jej rękę. Będzie uwielbianą, kochaną, podziwianą, — biedne, opuszczone dziecko prostej robotnicy, narzeczona zbrodniarza — stanie się gwiazdą salonów! Lola miała bujną fantazyę, to też przyszłość ukazywała jej się w najświetniejszych barwach. Skoro tylko otrzyma owe wymarzone miliony, opuści na pewien czas Francyą, a nawet może i Europę, i uda się tam, gdzie jej nikt nie zna, gdzie nikt o niej nie słyszał, i po dwóch lub trzech latach wróci świetna, piękna i wytworna, jak prawdziwa dama wielkiego świata! O Alfonsie myślała z niechęcią i odrazą, przestała go nagle kochać i dałaby Bóg wie co za to, gdyby go się była mogła pozbyć raz na zawsze. Ten człowiek, którego ukochała pierwszą, gwałtowną miłością, wzbudzał teraz w niej wstręt nieprzeparty. Chwilowo jednak musiała mu kłamać miłość, bo potrzebowała jeszcze jego usług i pomocy.

ROZDZIAŁ 15.

Anatol pozostał jeszcze w pałacu po odesłaniu Lucyana i Nory do więzienia. Aresztowanie młodej hrabiny przeraziło wszystkich domowników, najwięcej naturalnie hrabinę Beaumont i Helenkę. Znając miłość Lucyana dla Nory, gotowe były uwierzyć w winę jego, chociaż jedna przed drugą przyznać się do tego nie chciały.

Aresztowanie Lucyana odbyło się bez rozgłosu, poszedł on dobrowolnie z policyantami, raz dla tego, że czuł się niewinnym a powtóre, że nie chciał przestraszać chorej matki. Po odjeździe Nory udała się pani Beaumont do swoich pokoi, a panią Darby odniesiono do domu.

— Bądź pani zupełnie spokojną — mówił dyrektor policyi, który się szczerze litował nad nieszczęśliwą kobietą — chociaż syn tak prędko nie wróci, bo musimy go jako świadka zatrzymać dłuższy czas na sądzie. On musi sam dopomódz w wykryciu mordercy!

A w duszy dodał jeszcze:

— Biedna, dowie się prawdy dosyć wcześnie!

O dziesiątej, po ukończeniu wszelkich czynności, postanowił Anatol opuścić nareszcie pałac Noirville. Upadał formalnie z zmęczenia i musiał koniecznie kilka godzin wypocząć zanim by się nowe badania rozpoczęły. Wychodząc z bramy zdziwił się niezmiernie, ujrzawszy zajeżdżający powóz, a w nim pana Nivela z żoną.

— No proszę! — zawołał adwokat, wysiadając z powozu — to pan! Tak wcześnie! A ja myślałem, że my będziemy pierwszymi tutaj! Ale mamy jeszcze pół godziny czasu, pociąg odchodzi o jedenastej. Widziałeś pan już naszą młodą parę? Wszakże odprowadzisz ich także na dworzec? Oprócz nas trojga nikogo tam pewnie nie będzie! I lepiej też, ja przynajmniej nie lubię takich uroczystych scen — podróż poślubna przecież nie trwa lata całe!

Pan Nivel byłby tak rozprawiał bez końca, lecz Anatol zniecierpliwiony, przerwał mu szorstko.

— Bardzo dobrze — rzekł — że państwo tu jesteście! Od wczorajszego wieczora do chwili obecnej zmieniło się tu wszystko — ale ulica nie jest stósownem miejscem na opowiadania, proszę iść za mną...

Milcząc weszli wszyscy troje do salonu.

— Co się stało? — zapytał teraz adwokat niespokojnie.

— Hrabia Noirville nie żyje!

— Boże wielki! — krzyknęła pani Nivel.

— Nie żyje? — zawołał pan Nivel z niedowierzaniem. — Jakto może być?

— Zamordowano go tej nocy!

Głębokie milczenie zapanowało po tych słowach.

— Zamordowany! — szepnął nareszcie adwokat. — A gdzie Nora? Chciałbym ją widzieć!

— Tak, idźmy do niej — rzekła pani Nivel. — Biedna ona! Jak ją to musiało przerazić! Nie wiesz pan, gdzie jest?

— Hrabiny nie ma tutaj...

— Ach, więc pojechała do nas! Minęliśmy ją w drodze.

— O nie, hrabina została aresztowaną!

Adwokat osłupiał, żona jego zaczęła płakać.

— Co to wszystko znaczy? Za co aresztowano Norę? — zawołał adwokat po chwili.

— Nie domyślasz się pan?

— Czy ją — nie, to być nie może! Przecież nie podejrzywasz jej pan o...

— Wszystko przemawia przeciw niej!

I Anatol opowiedział dokładnie całą tę sprawę.

— Boże mój — jęknął adwokat — to moja wina! Czemu zmuszałem Norę do wypełnienia woli ojca! — Wiedziałem że ona go nie kocha!

— Ah, więc ona opierała się temu małżeństwu?

— Tak, bo kocha...

— Doktora Darby, nieprawdaż?

— Tak, ale ona nie popełniła tej zbrodni, nigdy w życiu! Ona nie jest zdolna do czegoś podobnego. Chyba ten doktór! Wszakże pan mówiłeś, że on tu był już przed przybyciem komisarza.

— Zapewne!

— Więc on jest mordercą. Nora kocha go, on kocha ją, albo jej majątek — oświadczył mi się o jej rękę, ale odmówiłem jej... Potem Nora uciekła do niego, nie wiem, jak to tam rzeczywiście było... Ach, któż mógł przewidzieć coś podobnego? Często wychodzą kobiety za mąż bez przywiązania i są szczęśliwe! Tak, to zazdrość i chciwość pieniędzy popchnęły tego doktora do popełnienia morderstwa! On zamordował Gastona, lecz Nora jest niewinną, ona nic o tem nie wie!

— A kto wprowadził go do pałacu? I kto mu potem drzwi otworzył? — rzekł Anatol.

— Jakie to okropne! straszne! A ja myślałem, że teraz wszystko dobrze będzie — wołał pan Nivel w rozpaczy.

— Pan nie jesteś winnym — pocieszał go Anatol. — Postąpiłeś tak, jak ci sumienie kazało, nie mógłeś przecież znać tak dokładnie charakteru panny Garrel, a doktora Darby nie znałeś wcale!

— Nora jest niewinną! Przysięgam panu! Wszystkiemu jest winien ten przeklęty doktór — wyrzekał adwokat. — Uciekajmy z tego domu — dodał, zwracając się do żony — zdaje mi się, że nas tu ziemia pochłonie. Jakie nieszczęście! Jaki skandal!

I nie czekając już na odpowiedź sędziego, wybiegł jak szalony z pałacu i wskoczył do dorożki.

— Tak się mści lekceważenie miłości — rzekła pani

Nivel, gdy doróżka ruszyła z miejsca — Trzeba się czasem liczyć z uczuciami kobiety, która też ma swoją wolę i charakter. Tego dowolnie zmieniać nie można!

— Jak to? — zawołał pan Nivel, zdumiony niezmiernie odezwaniem się żony. — Co to znaczy? Czyś ty miała inne zdanie co do tego małżeństwa?

— Naturalnie!

— Czemu mi o tem nie mówiłaś?

— Pytałeś mnie kiedy o swoje zdanie? Czy się wogóle kiedykolwiek o nie pytasz? Gdybym ci była powiedziała to, co myślę, byłbyś pogardliwie wzruszył ramionami i byłbyś rzekł, że mam się troszczyć o moje własne sprawy.

Pani Nivel dziwiła się sama swej śmiałości i myślała, że mąż gniewem wybuchnie, ale adwokat był tym razem dziwnie spokojny. Nie odrzekł ani słowa, tylko zamyślił się głęboko, a gdy przybyli do domu, udał się zaraz do swej pracowni i pozostał tam aż do wieczora. Nieszczęście Nory zbyt silne na nim wywarło wrażenie.

ROZDZIAŁ 16.

Dla sędziego śledczego upływał czas szybko wśród nawału pracy, dla Nory jednak i Lucyana, zamkniętych w więzieniu, żółwim wlókł się krokiem. Dla państwa Nivel przynosił każdy dzień nowe troski i kłopoty z powodu Nory, Alfons zaś i Lola przeklinali każdą chwilę, ktore ich jeszcze dzieliły od chwili otrzymania milionów.

Alfons przepędzał teraz prawie cały dzień u Loli. Nie mógł znieść samotności, a obawiając się wyjść na ulicę, przyjeżdżał rano do Loli zamkniętą doróżką i tak samo wracał wieczorem do swego mieszkania. Drżał on na każdy szelest — gdy kto do drzwi zapukał, uciekał do kuchni, lub krył w szafie, i tak szalony okazywał strach, że w końcu Lola szydzić z niego zaczęła.

— Nie mogę dłużej wytrzymać z tobą — rzekła pewnego dnia. — Boisz się, jak gdyby kat już po ciebie przychodził! I to ma być mężczyzna, dzielny i odważny! No, dziękuję! Zresztą co do mnie, to nie chcę siedzieć dłużej tu jak w więzieniu! Niepokoi mnie też to, że Robert wcale się nie pokazuje. Musimy wyjść i wystarać się o jakie gazety!

Że jednak Alfons o wyjściu na ulicę ani słyszeć nie chciał, przeto okryła się szalem i poszła sama. Na rogu ulicy był kiosk z gazetami, kupiła więc pierwszą lepszą, przeczytawszy na pierszej stronie tytuł długiego artykułu: „Morderstwo w pałacu Noiville" i czemprędzej wróciła do domu.

Alfons zaczął czytać głośno cały szereg zbrodni. Były tam dokładnie wymienione wszelkie szczegóły, ze względu jednak na osoby tak wysoko postawione, nie wymieniono ich nazwisk i zakończono artykuł tem, że policya już zbrodniarzy wyśledziła. Gazeta wypadła z rąk Alfonsa.

— Już wiedzą — jęknął. — Już wiedzą, kto go zabił.

— Milcz! Tam stoi przecież wyraźnie o zbrodniach a przecież ty sam tylko.... — zawołała Lola.

No tak, ale Robert i ty pomagaliście mi, więc i o was tu mowa! Robert nie przychodzi, pewnie go już aresztowano i wydał nas!

— W takim razie jesteśmy zgubieni! — szepnęła Lola, blednąc. — Ale gdyby tak było, to policya już by nas tu była odszukała!

— Uciekajmy! Masz pieniędzy dosyć! Zabierzmy wszystko i uciekajmy!

— Dokąd?

— Nie wiem! Byle gdzie! Byle nie siedzieć w Paryżu! Ukryjmy się w jakiej małej wiosce pod fałszywem nazwiskiem i czekajmy, co się dalej stanie!

— Ale ucieczka zwróciłaby właśnie podejrzenie na nas!

— Więc chcesz, aby nas tu schwytano?

W tejże chwili dało się słyszeć silne pukanie do drzwi.

— Policya! — szepnął Alfons, a twarz jego posiniała.

— Nie — zawołała Lola. — Policyanci mówią zawsze: „otwórzcie w imieniu prawa". To nie policyant! Czekaj, ja otworzę!

— Nie, nie!

— Otworzę! Jeżeliś taki tchórz, to nie trzeba ci się było zabierać do tego! Twój strach zgubi nas z pewnością!

I rzucając na niego spojrzenie pełne pogardy, otworzyła drzwi.

Na progu stał Robert.

— Ach, to ty! — zawołała Lola uradowana.

— Tak, ja, ale nie mówcie tak głośno — odrzekł chłopak i wszedł do pokoju.

Widok brata wprawił Alfonsa w prawdziwe uniesienie.

— Ty! — szepnął drżącym głosem — więc nie jesteś uwięziony?

— Czemu miałbym być uwięziony? — rozśmiał się Robert.

— Bo nie przychodziłeś tak długo, a gazety pisały, że policya wyśledziła zbrodniarzy.

— Ale nie nas! Nas policya może jeszcze szukać — rozśmiał się młody potwór.

— Więc kogo podejrzywają? — spytała Lola.

— Już ich aresztowano.

— Ale kogo?

— Hrabiankę Garrel, czyli hrabinę Noirville...

— Moją siostrę!

— Tak! Ona miała zamordować męża. Co myślisz o tem Alfonsie?

— Nie może być! — zawołała Lola. — Jak można ją posądzać o coś podobnego!

— A jednak tak jest!

— Tym sposobem jesteśmy uchronieni przed wszelkiem podejrzeniem — rzekł Alfons z westchnieniem ulgi. — Ale tracimy wszelkie widoki co do majątku...

— A to czemu? — przerwał Robert. — Przeciwnie jeżeli hrabina skazaną zostanie na śmierć, co jest prawdopodobnem, to dostaniemy po niej sukcesyą, tak samo, jeśli skazaną zostanie na więzienie dożywotnie. To tak, jak gdyby umarła. Dowiedziałem się o wszystkiem! Prawo tak przepisuje!

— O tem nie myśleliśmy wcale, ale ten, który to prawo wymyślił, mądrym był człowiekiem. Możemy mu być wdzięczni za nie! — zawołała Lola.

— Zkąd ty wiesz o tem wszystkiem? — zapytał Alfons.

— Patrz — rzekł Robert, wyjmując z kieszeni małą, brudną i podartą książkę. — Kupiłem to u tandeciarza. Zbiór praw...

— Głupi jesteś — przerwał Alfons, wydzierając mu książkę. — Są to prawa z roku 1840, a prawo z r. 1854 znosi śmierć cywilną!

Robert zmieszał się i spuścił oczy.

— Więc dostaniemy majątek Nory wtenczas tylko, jeżeli zostanie skazana na śmierć, a o tem ani mowy nie ma! Hrabina Noirville nie zginie z ręki kata. Zamkną ją co najwyżej na całe życie w więzieniu!

— A potem...

— Nie dostaniemy nic — szepnął Robert. — to jasne,

— Sąd wyznaczy administratora majątku, procenta będą składane do kapitalu aż do dnia jej śmierci, na którą pewnie długo czekać będziemy musieli, bo ona ma dopiero ośmnaście lat. Czemu nie pomyśleliśmy o tem, że na nią padnie podejrzenie?

Alfons biegał po pokoju, wzburzony, zły, jak człowiek, który stracił wszystkie owoce swej ciężkiej pracy i patrzał groźnie na brata.

— Co teraz? — zawołał, stając przed nim.

— W każdym razie zostaje nam ten milion, który złożony jest u notaryusza, a który otrzyma Lola, jeżeli siostra jej nie wyjdzie za mąż w przeciągu dwóch lat — odpowiedział Robert.

— To prawda! — szepnąłAlfons nieco uspokojony. — W najgorszym razie mamy dosyć, a przynajmniej pomściliśmy się na tym nędzniku.

— To nie dosyć, ja chcę wszystkiego — zawołał Robert. — Czemu się mamy wyrzekać milionów? Przecież i w więzieniu umierają ludzie!

Po tych słowach nastąpiło milczenie.

— Opowiedz nam — odezwała się po chwili Lola — jak się to tam stało. W gazetach i tak nie ma dokładnego opisu.

Robert opwiedział obszernie wszystkie szczegóły morderstwa i aresztowania Nory i doktora a Alfons słuchał uważnie, podziwiając w duszy przezorność i przebiegłość brata.

— Głupi policyanci — zawołał w końcu. — Jak łatwo można ich wywieść w pole. Jesteśmy zupełnie bezpieczni!

— Ale pomimo to bądźmy ostrożni — upomniał Robert. — Nie pokazujcie się za wiele na ulicy, a gdybym się dowiedział o jakiem niebezpieczeństwie, to wam zaraz doniosę.

— Ty wracasz do pałacu?

—Tak musimy tam być wszyscy, nikomu odchodzić bez pozwolenia nie wolno. Ale to dobrze, dowiaduję się o wszystkiem najrychlej. Dziś wyszedłem, bo roznosiłem karty z zaproszeniem na pogrzeb. Chcecie też karty? — dodał z bezczelnym uśmiechem.

— Nie, nie! — krzyknęła Lola.

— No, to nie, ale za wszystko, co uczyniłem, mogłabyś mnie raz chociaż pocałować, moja przyszła bratowo!

Lola przytłumiła wstręt i dotknęła lekko ustami czoła młodego złoczyńcy.

— Dziękuję ci — szepnął.

Robert był uszczęśliwiony. Za pocałunek Loli poszedłby do piekła, nie namyślając się ani chwili.

ROZDZIAŁ 17.

Pogrzeb hrabiego Noirville miał się odbyć nazajutrz o godzinie czwartej po południu, a już o drugiej zaczął się gromadzić tłum przed pałacem.

Ponieważ z krewnych, mieszkających w Normandyi nikt nie przyjechał, przeto na czele orszaku szedł notaryusz pan Nivel i Anatol. O piątej już było wszystko skończone i małżonek Nory Garrel spoczął w wspaniałym grobowcu familijnym na cmentarzu Montparnasse.

Anatol wrócił natychmiast do swego biura, gdzie już na niego czekali dyrektor policyi i sekretarz.

— Masz pan dla mnie jakie polecenie?— zapytał dyrektor.

— Chwilowo nie. Najtrudniejsza rzecz, uwięzienie winnych, już załatwiona. Kazałeś pan ustawić straże przy pałacu Noirville i przy domu doktora Darby?

— Tak, i przyniosłem rewolwer, który znaleziono przy doktorze, i nóż, który został na miejscu zbrodni. A tu są papiery zabrane przy rewizyi mieszkania pana Darby.

— Dobrze, to wszystko, czego mi teraz potrzeba. Jutro proszę mi przysłać wszystkie papiery z pałacu Noirville i można też zdjąć pieczęcie...

Dyrektor wyszedł, a sędzia zwrócił się do sekretarza.

Wypracuj pan jaknajprędzej zapozwanie dla świadków — rzekł — jutro po południu chcę ich przesłuchać.

Potem zabrał się do przeglądania papierów, znalezionych w biurku Lucyana, i spodziewał się znaleść jakiś, chociażby najmniejszy dowód jego winy, ale daremnie.

Były tam tylko rękopisma poważnych rozpraw naukowych i listy kilku przyjaciół, świadczące o życiu pełnem pracy i zajęcia młodego lekarza.

— To dziwne — myślał zniechęcony daremnem szukaniem. — Możnaby sądzić, że to najpoczciwszy w świecie człowiek, a jak trudno wątpić o jego winie. Oprócz kilku ciemnych jeszcze punktów, jest cała sprawa zupełnie jasną. Kochał hrabinę i pragnął jej majątku, ona kochała go także — cóż więc naturalniejszego, że postanowili usunąć hrabiego? Zresztą ten doktór zdradził się sam — zkąd byłby się wziął o tej porze przed pałacem? Gdyby był uciekł, byłby mi utrudnił zadanie. Ale kto zbyt przebiegła plan układa, ten zwykle sam siebie oszukuje.

I przekonany, że znalazł rzeczywiście mordercę, udał się na spoczynek z zupełnie spokojnem sumieniem.

A nazajutrz o trzeciej siedział w swem biurze i kazał wprowadzić pierwszego świadka.

ROZDZIAŁ 18.

Tym pierwszym świadkiem był pan Nivel, opiekun Nory.

Biedny notaryusz smutny przedstawiał widok. Jego zwykle spokojna i uśmiechnięta twarz, wyrażała teraz ból i przerażenie — od chwili, w której dowiedział się o tragicznej śmierci Gastona, nie mógł ani jeść, ani spać i po raz pierwszy w życiu zaczął powątpiewać o swej nieomylności. Był on zresztą dobrym i zacnym człowiekiem, i nie byłby nigdy popełnił czegoś, co się nie zgadzało z honorem, ale jego upór i zarozumiałość były wady, rozwinięte do najwyższego stopnia. Kochał Norę, lecz zmusił ją do zaślubienia Gastona dla tego, że jej ojciec tak sobie życzył, teraz jednak czuł się względem niej winnym i postanowił jej bronić o ile się dało. Uważał zresztą sam Lucyana za mordercę, i jemu całą przypisywał winę.

— Jak się pan miewasz? — przywitał go Anatol.

— Źle, — odrzekł, — czuję się chorym i tylko poczucie obowiązku dodało mi siły do przybycia tutaj.

— Dziękuję — jestem bowiem przekonany, że zeznania pana bardzo będą ważne.

— Powiem wszystko, co wiem, ale to nie wiele. Chciałbym chętnie przyczynić się do wyśledzenia i ukarania mordercy i pragnąłbym uspokoić własne sumienie...

— Czy pan masz sobie co do zarzucenia?

— Ach, każdy człowiek może się omylić. Powiedziałem panu już, że zmusiłem Norę do tego małżeństwa i tym sposobem stałem się powodem całego nieszczęścia. Nie wiedziałem, że trzeba się liczyć z sercem i uczuciem zakochanych — no, i widzę dziś, że popełniłem ciężki błąd!

— Od kiedy jesteś pan opiekunem hrabianki Garrel?

— Od siedmiu lat! Jej ojciec oddał mi ją, umierając. Sądziłem, że jestem godnym zadania, jakie mi powierzył, a ja......

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Wojsko polskie z 1831-go roku.

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

III.

Bitwa pod Iganiami
dnia 10-go kwietnia 1831 r.

Po zwycięstwie pod Wawrem i Wielkim Dębem nadarzyła się najpiękniejsza pora Skrzyneckiemu, jeżeli nie zniszczenia, to przynajmniej pobicia i wyparcia nieprzyjaciół, zwłóczył on przecież i marnował najświetniejszy zapał polskiego wojska. Wynajdywał różne sposoby, aby tylko stanowczej nie stoczyć bitwy. Położenie Moskali było bardzo groźne, gdyż niewygody i choroby przerzedzały ich szeregi, a nadewszystko utracili ducha. Sołdaci moskiewscy byli przekonani, że Matka Boska pomaga Polakom, dla tego zwyciężają. Ale darmo — Skrzynecki był upartym, lubił wygody, i milej mu było siedzieć w Warszawie, aniżeli w obozie. Myślał też więcej o układach z Moskwą i z Austryą, aniżeli o planach wojennych.

Rano w dniu 10 kwietnia jenerał Kicki i pułkownik Michał Mycielski, postępując naprzód na czele drugiego pułku ułanów, wpadli niespodzianie pod Domanicami na 10 szwadronów jazdy moskiewskiej — było zatem przeszło trzy razy tyle Moskali co Polaków. Cofnąć się było niepodobno, zatem dzielni ułani uderzyli potężnie na wrogów. Krótką była walka. Padło trupem 200 Moskali a 250 się poddało.

Oddział polski pod dowództwem jenerała Prądzyńskiego liczący 5000 żołnierza, szedł naprzeciw korpusowi Rozena, który wzmocnił się pułkami strzeleckiemi Palena. Przyszło do bitwy pod Iganiami 10 kwietnia. Moskale byli w dwójnasób silniejsi; samych armat mieli 40, a Polacy tylko 14. Był to znowu błąd naczelnego wodza. Rozpoczął bitwę także ów drugi pułk ułanów, który razem z batalionem 8 pułku pod dowództwem podpułkownika Karskiego wpadł do wsi Iganie, rozbił Moskali i zabrał 3 działa. Mężny Karski zginął w tym ataku. W tym boju brali udział strzelcy moskiewscy, nazwani od Mikołaja

„lwami warneńskiemi“„ gdyż w wojnie tureckiej 1828 roku pierwsi weszli do Warny. Przybyli oni niedawno na wozach z głębi Rosyi. Nie doświadczywszy jeszcze męstwa Polaków, śmiali się głośno, gdy jakiś pułk moskiewski cofał się przed nacierającymi Polakami. Na to rzekł im pułkownik: „Wy myślicie, że to z głupimi Turkami sprawa! Spróbujcie się tylko z Polakami, a zobaczycie co się z wami stanie!“ Lwy warneńskie jeszcze się bardziej śmiać poczęli. Ich duma wnet upokorzoną została, bo gdy dwa pułki tych lwów warneńskich uderzyły na Polaków, ci choć o połowę byli słabsi, odważnie z bagnetem w ręku, nie strzelając, wykonali śmiały atak. Jenerałowie Prądzyński, Chrzanowski i Krasicki, pozsiadawszy z koni, z karabinami w ręku, szli każdy na czele batalionu. Gdy Moskale zaczęli przechodzić rzeczkę, wtedy gwałtownie napadają ich Polacy, a choć to były lwy ci Moskale, przecież nie dotrzymali placu. Większa część padła pod bagnetami, reszta zaś w ucieczce zginęła od kul polskich, lub utopiła się w wodzie.

Zwycięztwo było stanowcze. Moskale utracili 5000 w zabitych i rannych, 3 pułkowników rosyjskich padło, a 3 dostało się w niewolę, zdobyto 3 działa, chorągiew i kilka tysięcy sztuk broni.

* * *

A. K. Puzyrewsky rosyjski generał-lejtenant sztabu głównego tak opisuje bitwę pod Iganiami w dziele p. t. „Wojna polsko-ruska.“

Dnia 10-go kwietnia, kiedy siły główne armii ruskiej posuwały się w kierunku Łukowa, Ułana i Radzynia, Polacy szli również naprzód prawem skrzydłem swojem: Prądzyński z Wodyń (gdzie nocował) posuwał się na Domanice, Chrzanowski zaś przez Seroczyn ku Róży; blizkość wszelako jazdy straży przedniej ruskiej, nocującej pod Stoczkiem, zmusiła Chrzanowskiego do posuwania się powolnego. tak, że Gorczakow zdołał wyprzedzić Polaków pod Różą i osłonić drogę. Łukowska Piechota straży przedniej posuwająca się z Kamionki na jednej wysokości z kolumną hr. Pahlena, przeszła do Dębego. Prądzyński zbliżając się do Domanic i widząc tam Rosyan, wysłał przeciw Siewersowi 4 szwadrony Mycielskiego (2-go pułku ułanów) i 2 działa konne. Walka zawiązała się uparta; nadejście nakoniec piechoty polskiej zmusiło Rosyan do odwrotu.

Siewers wolno w całkowitym porządku zaczął cofać się ku Siedlcom, gdzie pod niebytność Rosena Gejsmar dowodził wojskami. Odebrawszy wiadomości o ruchu Polaków, Dybicz napisał do Rosena, aby, ile możności trzymał się przed Siedlcami nad Muchawcem i uprzedzał go, że nazajutrz sam w każdym razie całemi siłami uderzy na Polaków od strony Łukowa. Ks. Gorczakowowi kazano pozostawić w Dębem pułk tylko piechoty i pułk jazdy, a ze wszystkimi pozostałymi oddziałami straży przedniej wyruszyć na drogę z Siedlec do Biardów.

Tymczasem pod Iganiami, niedaleko od Siedlec, wrzał już bój zacięty. Miasto Siedlce leży na otwartej równinie, a od strony Warszawy osłonione jest rzeczką Muchawcem, płynącym o 3 wiorsty od miasta. Brzeg jej przeciwległy, zwrócony ku Warszawie, zarosły jest lasem. Na brzegu tym ku miastu zwrócona, o wiorstę prawie na południe od szosy leży wieś Iganie, a dalej jeszcze, o dwie wiorsty, wieś Żelków, przez którą idzie droga z Seroczyna. Oprócz szosy i drogi Seroczyńskiej, na których istnieją groble i mosty, innych przepraw w blizkości miasta niema, brzegi bowiem rzeki grzęzkie i bagniste. Pozycya więc pod Iganiami, osłaniająca Siedlce, odznaczała się znaczną siłą odporną, jako broniona przez bagnistą rzeczkę z jedyną dogodną przeprawą tylko na szosie, gdzie istniał most i długa grobla. Utrzymanie tej pozycyi ważne miało dla Gejsmara znaczenie, koniecznem bowiem było zyskanie czasu dla przejścia przez rzeczkę straży przedniej pod dowództwem gener. Fezi, pozostawionej przez Rosena przy jego odwrocie pod Jagodnem nad Kostrzyniem, o 19 wiorst od Siedlec, a składającej się z 25-tej dywizyi pieszej z dwoma pułkami strzelców 24-tej dywizyi i Litewskiego pułku ułanów, razem około 6,000 ludzi. Gejsmar wojsko swoje rozstawił na pozycyi w sposób następujący: przybyła w przeddzień, czyli 9-go kwietnia brygada strzelców (4 batal.) 7-ej dywizyi pieszej stanowiła prawe skrzydło i broniła mostu na szosie; na lewo, na wzniesionym brzegu rzeki stanęło 28 dział na pozycyi; trzy słabe pułki 24-tej dywizyi pieszej, Wileński, Brzeski i Białostocki, stały jeszcze więcej na lewo, w górę rzeki, przyczem ostatni osłaniał przeprawę na drodze Seroczyńskiej. Po nadejściu Rosena 1-sza brygada 3-ciej dywizyi grenadyerów, 2 szwadr. huzarów i 4 szwadr. strzelców konnych utworzyły drugą linię, a 6-ty pułk strzelców zajął Siedlce, — razem około 11 tys. ludzi. Parki, zbyteczne działa (25) chorzy i szpitale wysłani zostali wstecz drogą Brzeską z rozkazem wysadzenia parków w powietrze w razie zajęcia Siedlec przez nieprzyjaciela. Straży przedniej Feziego dano rozkaz przyśpieszenia marszu, o ile można. Ledwie rozporządzenia te wykonano, kiedy ukazał się Siewers, silnie party przez Prądzyńskiego. Dla poparcia jazdy naszej wysłano 2 działa konne, dla ubezpieczenia zaś odwrotu straży przedniej Feziego, który się dotąd jeszcze nie ukazywał, Rosen kazał batalionowi 14-go pułku strzelców z 2 działami zająć wieś Iganie, Siewersowi zaś, opierając się na ten punkt, powstrzymywać pochód Prądzyńskiego. Siewers stanął między Iganiami a pagórkiem, zajętym przez wiatrak. Prądzyński nie mając pojęcia o stanowisku Rosyan i obawiając się o swoje tyły i skrzydła, pozostawił trzy bataliony 4-go pułku z dwoma działami i jednym szwadronem pod Gołąbkiem, na połowie drogi od Domanic, jeden zaś batalion ze szwadronem wysunął na prawo ku Muchawcowi dla strzeżenia brodu, którego obawiał się, aby nie zostać otoczonym. Osłabiwszy niepotrzebnie w ten sposób przed samą bitwą siły swoje (do czego sam się przyznaje), Prądzyński stanął pod Zelkowem z 9-ma batal., 4-ma szwadronami i 14 działami, — ogółem z około 7,000 ludzi. Zatrzymawszy wojska swoje w zaroślach, uszykował je i dał im wypoczynek, sam zaś z Kickim i innymi wyjechał naprzód na rekonesans. Po pewnych wahaniach, przyczem Kicki radził odwrót, Prądzyński, zauważywszy poza frontem Rosyan długi szereg cofających się furgonów, dział i oddziałów wojska, zdecydował się nakoniec przypuścić atak. Pozostawiony z tyłu 4-ty pułk piechoty otrzymał rozkaz przyłączenia się do oddziału i stania w odwodzie. Obawiając się, żeby lewe jego skrzydło nie zostało otoczone przez liczną jazdę ruską, i pragnąc wysunięciem prawego skrzydła odciąć jej jedyną drogę odwrotu przez groblę. Prądzyński postanowił atakować prawem skrzydłem, a lewe trzymać nieco w tył cofniętem; przysunął więc je do niewielkiego pagórka, wznoszącego się z zarośli, piechotę uszykował w czworoboki z odstępami, na pagórek zaś zatoczył cztery działa piesze. Bem z 10-ma działami konnemi pod osłoną jazdy Kickiego wysunął się naprzód i o 3-ciej po południu rozpoczął się ruch zaczepny i kanonada. Stojący w środku 5-ty pułk piechoty szedł w czworobokach z odstępami, 8-my zaś pułk, stanowiący prawe skrzydło, w kolumnach batalionowych z tyralierami na przedzie, kierując się wprost na Iganie; 4-ty pułk za nadejściem miał

stanowić rezerwę prawego skrzydła. Nie zważając na silny skrzydłowy ogień ruskiej artyleryi z przeciwległego brzegu Muchawca, Polacy mężnie doszli do Igań, zdobyli część domów w ich części wschodniej i dwa działa ugrzęzłe w błocie. Kilka szarż Elizawetgradzkiego pułku huzarów odparło ułanów polskich i wstrzymało polskie czworoboki lewego skrzydła, ale ponieważ oddział Feziego nie ukazywał się jeszcze, a koniecznością było utrzymanie się przy grobli, to pozostałe trzy bataliony 13-go i 14-go pułku strzelców odebrały rozkaz przejścia rzeczki po moście i odebrania Igań nieprzyjacielowi. Odważni strzelcy, („lwy warneńskie") dumni ze świetnej sławy, zdobytej przez nich w niedawno ukończonej wojnie tureckiej, przeszli wązkim frontem przez ciasną groblę, zwrócili się na lewo i z bronią w ręku rzucili się na Iganie; wtargnąwszy do wsi, uderzyli dzielnie na 8-my pułk polski, wyparli go w nieładzie z płonącej wioski i odebrali dwa zabrane działa; ale zamiast poprzestać na obronie, uniesieni szałem ataku, rzucili się w pogoń za nieprzyjacielem i do tego w takiej samej głębokiej marszowej kolumnie, jaką przechodzili przez groblę. Jednakże prawe skrzydło Polaków znalazło się w zupełnym nieładzie, Bem zaś oświadczył, że wystrzelał ładunki swoje. Prądzyński ocenił szybko stan rzeczy i postanowił skorzystać natychmiast z błędu zapamiętałych śmiałków. Kickiemu więc rozkazał cofnąć skrzydło prawe w możliwym porządku, sam zaś pośpieszył na lewe, z czworoboków przestawił je w kolumny batalionowe, a stanąwszy na ich czele, powiódł je naprzód przeciw prawemu naszemu skrzydłu. Tymczasem będące na czele straży przedniej Feziego pułki Wołyński i Miński (razem w liczbie około 1,000 ludzi) nadeszły do Igań i otrzymały rozkaz zajęcia wzgórz na prawo od wsi; jazda Siewersa zaczęła się cofać, ażeby zdążyć przejść jeszcze przez wązką drogę. W tej właśnie chwili natarł Prądzyński. Romarino z 1-szym pułkiem piechoty miał zająć uparcie broniony folwark na zachodnim krańcu Igań; Prądzyński zaś szybkim biegiem przeprowadził przez wieś 5-ty pułk piechoty wprost ku grobli. Strzelcy 13-go i 14-go pułku, spostrzegłszy grożące im niebezpieczeństwo, wstrzymali pościg i zawrócili nazad; ale Prądzyński zdążył ich wyprzedzić i zajął groblę. Tu tedy rozpoczęła się zawzięta i krwawa walka na bagnety i kolby; karabinowy i działowy ogień ustał całkowicie. Waleczni strzelcy jakkolwiek z wielkiemi stratami, przebili się jednakże, przyczem dowódca 13-go pułku, pułkownik Bezsonow padł pod bagnetami polskimi. Fezi z pułkami Wołyńskim i Mińskim również przebić się próbował, co wszakże udało się tylko w niewielkiej części, — reszta albo rozproszoną została, albo wziętą do niewoli. Z innych pułków straży przedniej, — Zytomierski i Podolski zdążyły przejść most jeszcze z jazdą Siewersa, 47-my zaś i 48-my strzelców, oraz Litewski ułanów, nadszedłszy później i znalazłszy groblę w rękach nieprzyjaciela, zwróciły na lewo i przeprawiły się przez Muchawiec częścią przez most pod Chodowem, częścią w bród. Polacy zdobyli na nas sztandar (pułku Wołyńskiego) i jedno działo, pod którem oś się złamała. Usiłowanie zdobycia mostu przez nieprzyjaciela odpartem ze stratą zostało, a bitwa skończyła się o 7-mej wieczorem. Całkowite straty nasze wynosiły przeszło 3,000 ludzi; straty Polaków były mniejsze, nie wzięto im bowiem jeńców. Dopiero późnym wieczorem zjawił się od strony Suchej Stryjeński z brygadą jazdy, a nazajutrz rano 10-go kwietnia i sam Skrzynecki. To opóźnienie wynikło stąd, że Skrzynecki, wyjechawszy z Latowicza nie w nocy, ale dopiero rano 10-go kwietnia, przybył do korpusu Łubieńskiego, czekając na niego z bronią u nogi; nie wychodząc z karety, zaczął uskarżać się na znużenie i natychmiast udał się do sąsiedniej z tyłu wioski, gdzie zjadł śniadanie i spać się położył. Huk wystrzałów pod Iganiami dobrze słychać było u Łubieńskiego, który nakoniec posłał dać znać o tem Skrzyneckiemu. I dopiero wtedy naczelny wódz się ukazał i polecił most naprawiać; jazda wszakże nie by-



Husarz polski.
(patrz artykuł p. t. „Sobieski pod Wiedniem").

ła jeszcze zebrana u brodu Suchej i następnie dopiero Skrzynecki kazał Stryjeńskiemu śpiesznie ruszyć tamże, lecz żadnej nie dał mu instrukcyi, więc Stryjeński, przeprawiwszy się przez bród i spotkawszy jazdę ruską, nie wiedział, co ma robić, i posłał po rozkazy. Na tej bezczynności i czas upłynął.

Tymczasem wojska ruskie zajęły pozycyę za Muchowcem i gotowe były do odparcia ataku. Skrzynecki nie śmiał za zmęczonem wojskiem atakować Siedlec wieczorem, a nazajutrz zrana mógł nadejść sam feldmarszałek. Tym sposobem nie udało się Polakom odcięcie straży przedniej Feziego i cały plan, tak zręcznie obmyślany, nie przyniósł im dotykalnych korzyści. Skrzynecki nazajutrz rano odprowadził wojska do Kałuszyna, a następnie do Cegłowa, poczem znowu część ich wysłał ku Kostrzyniowi, dokąd 12-go kwietnia nadciągnęła i ruska straż przednia. Chrzanowski i Skarzyński cofnęli się z Róży ku Kuflewowi. Po tych operacyach zjawiła się w armii polskiej cholera, która wszakże tak straszliwych nie sprawiała spustoszeń, jak w armii naszej.

Bitwa pod Iganiami

dnia 10 kwietnia 1831-go roku.

(*Wspomnienie historyczne.*)

Wyszło carskie rozkazanie:
*— Lwów Warneńskich *) pułk niech stanie:*
Czas już zetrzeć w proch Polaków! —
Wstali, poszli pod Iganie.

Dział czterdzieści wali z niemi,
Aż grzmot idzie wnętrzem ziemi,
A czternaście naszych armat
Odgrzmiewa im huki swemi.

Wali Moskwa, jako mrowie,
Karabiny z mrowia sterczą...
Lecą kruki, bitwę czują,
Bitwę krwawą i morderczą.

Grzmią strzałami lwy warneńskie,
Rozkaz ich zagrzewa carski.
Do ataku pierwszy na nich
Podpułkownik biegnie Karski.

Biegnie, ginie jak bohater...
Ale wiara jego śmiała
Pędzi, wpada na baterye,
I zdobywa cztery działa.

Rykną ogniem lwy warneńskie,
Z coraz bliższej rażą mety.
Aż jak piorun rozkaz huknie:
— Do ataku! Na bagnety! —

Schyliły się czarne kaski,
Czarne kaski, orły złote —
Runą naprzód Lwy warneńskie,
Z bagnetami na piechotę.

A jenerał nasz Prądzyński
Z konia swego skacze śmiele,
Chwyta bagnet, pieszo idzie
Z batalionem swym na czele.

Widzi żołnierz, że wódz drogi
Sam się rzuca w bitwę krwawą.
— Hura! — krzyknie — na Moskali!
I odparli wroga z sławą.

Tam Chrzanowski dzielny zginął,
Tam Krasicki poległ śmiały —
Lecz Warneńskie lwy na placu
Trupem legły — i zostały!

Jan Sawa.

*) Strzelcy. W r. 1824-ym pierwsi weszli do Warny w czasie wojny Rosyi z Turcyą.

„Sobieski pod Wiedniem".

W czasopiśmie wojskowem „Die Vedette", wychodzącem jako dodatek do dziennika „Fremdenblatt", rozpoczął się druk rozprawy p. t. „Sobieski pod Wiedniem", której autorem jest p. Władysław Jagielski, rotmistrz austryackiej konnicy. Cel swój rozprawy określa autor zaraz na początku jej następującym zwrotem: „Sobieski dowodził wojskiem chrześciańskiem w owej pamiętnej bitwie, a współcześni: cesarz Leopold I. król Ludwik XIV., królowa Krystyna, ks. Lotaryngski, uratowany Wiedeń i zwycięskie wojsko uważają go za zwycięzcę — tymczasem w ostatnich 20 latach podniosły się głosy, które mu chcą odebrać tę sławę. Po czyjej stronie jest słuszność?"

Chodzi więc o znane zasługi Sobieskiego około ocalenia Wiednia. Autor, na podstawie obcych, przeważnie francuskich źródeł, chcąc odpowiedzieć na postawione sobie pytanie, rozdzielił je na trzy części, a mianowicie: jaką posiadało wartość wojsko polskie; czy Sobieski kierował bitwą i wreszcie gdzie padło rozstrzygnięcie? W artykule, który mamy przed sobą, rotmistrz Jagielski roztrząsa przedewszystkiem wartość wojsk polskich.

„Sobieski — pisze autor — zobowiązał się 40.000 ludzi „durante bello alitare"; 25.000 żołnierza miał pod Wiedniem, 12,000 Litwinów i 1200 Brandenburów było w drodze, 10.000 kozaków stało nad Bessarabią, a więc swoje przyrzeczenie szczodrze wykonał. Polacy w liczbie 25.000 byli pod względem liczebnym najsilniejszym kontyngentem jednolitym chrześcijańskiego wojska; w konnicy tworzyli bez dragonów 40 proc., z dragonami 47 proc. chrześcijańskich szwadronów. Od roku 1665 do 1682 odbyli 11 lat wojennych, a z tego 4 wyprawy przeciw Tatarom, a 5 wypraw przeciw Tatarom i Turkom.

„Piechota polska, dragoni i artylerya tworzyli razem autorament cudzoziemski, złożony atoli z chłopów polskich pod komendą obcych, przeważnie niemieckich oficerów. Piechota była uzbrojona w broń ręczną i palną, wedle pomysłu Sobieskiego i podzielona na 8 brygad, z których każda miała 2 do 3 pułków, liczących po 500 ludzi. Ta organizacya była więcej ruchliwą, niż reszta chrześcijańskich kontyngentów, tudzież pozwalała każdemu żołnierzowi walczyć naprzemian jako strzelec, lub wprost na rękę, gdy muszkieter ze swoją szpadą w walce na rękę był wobec piki lub handżaru w gorszem położeniu. Wojska te pod Chocimem i Żurawnem odbyły wobec Turków świetną próbę ogniową, artylerya, według sądu Starhemberga, była bardzo dobrą. Że autorament cudzoziemski był przez kawaleryę narodową lekceważony, można wytłómaczyć. Konnica jak i husarze i pancerni, w której 7000 szlachty o przymiotach oficerskich stało w pierwszym szeregu, w której uzbrojenie i koń jednego towarzysza kosztowały 1000 do 2000 dukatów, która w XVI i XVII stuleciu Szwedów, Turków, Rosyan, nawet gdy mieli przewagę liczebną, w puch rozbijała, nie dając nawet sposobności do wystąpienia innym rodzajom broni — takiej konnicy można wybaczyć owo lekceważenie.

„Jazda Sobieskiego była doborową i prowadzoną wedle zasad, które dzisiaj obowiązują. Ustawiała się po dwa oddzielne szwadrony, także w trzech szeregach, z nowożytnym dystansem pomiędzy szeregami. Ruchliwością przewyższała całą zachodnio-europejską konnicę. I tak np. husarze — najcięższa naówczas jazda — zdołali w r. 1672 w ciągu 8 dni podczas deszczów październikowych, w kraju zniszczonym i bezdrożnym zrobić 320 kilometrów, dopaść Tatarów i rozprószyć ich w kilku bitwach. Pod Wiedniem pułki dragonów i kirasyerów nie mogły Polakom dotrzymać kroku. Jazda Sobieskiego była najdzielniejszem i do zaczepnego działania najlepszem wojskiem pośród armii, zgromadzonej pod Wiedniem.

„Największą wartość polskiego wojska, jego zaletę przed innemi wojskami stanowiło to, że pułki polskie walczyły przeciwko Turkom w szeregu wypraw pod Sobieskim, owym wodzem, do którego pisał cesarz: „Cze-

kamy więc nie już na Twoje wojsko, Sire, ale na obecność Waszej Królewskiej Mości i jesteśmy silnie przekonani, że gdy Wasza królewska osoba stanie tylko na czele naszych sił zbrojnych, samo straszne dla wroga wspólnego imię Wasze sprowadzi jego klęskę".

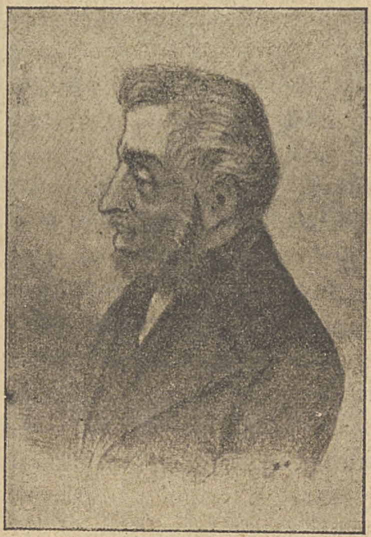
„A teraz do kierownictwa walki. Gdzie był Sobieski podczas bitwy, co czynił? „Dowodził en chef i to wszędzie, gdzie był największy ogień". (Jan Jerzy z Anhaltu do kurfirszta Brandenburgii dnia 13 września. Archiwum berlińskie). Udał się najpierw na Kahlenberg i pośród wiru akcyi posłał 6 chorągwi husarzy dla ks. Lotaryngii na lewe skrzydło. Wziął udział w walce na Nussbergu: „visum est regi mittere D. Mercy, qui illis subsidio esset" (Diarium principis). Dupont powiada: „le combat devint le plus furieux par la presence du roi", a gdy lewe skrzydło zdobyło Nussberg, król kazał zatrzymać się, aby zapobiedz przedwczesnym wysuwaniom się poszczególnych części linii bojowej. Cały ruch odbywał się systematycznie i żadna część nie wyprzedzała innej (Dyaryusz oblężenia w archiwum wojennem w Wiedniu). Gdy lewe skrzydło, ustaliło się przed płaszczyzną, Sobieski udał się na prawe skrzydło, gdzie dnia 12-go września, zmieniwszy wczorajszy plan, postanowił rozstrzygnąć bitwę. Naoczni świadkowie dowodzą wystarczająco, że Sobieski nie był bezczynnym widzem, ani też nie „przechadzał się" z jednego skrzydła na drugie. Na którem skrzydle nastąpiło rozstrzygnięcie? Odsiecz była walką wybitnie zaczepną przeciwko nieprzyjacielowi, który miał około 76.000 jazdy i 30.000 piechoty. Chodziło o to, ażeby wyjścia od Nussdorfu aż do Dornbachu mieć w rękach. Ponieważ piechota nie mogła wystąpić zaczepnie przeciwko konnicy tureckiej, więc zadanie to przypadło jeździe i rzeczywiście po południu dwie trzecie chrześcijańskich szwadronów były na przestrzeni pomiędzy Dornbachem a Sieveringiem".

Na tem kończy się część pierwsza artykułu rotmistrza Jagielskiego. Pozostawiając rzeczoną ocenę fachowcom, zaznaczamy tylko, że praca ta pojawiła się na czasie, zwłaszcza w fachowem czasopiśmie niemieckiem, i z tego powodu poświęciliśmy jej obszerniejszą wzmiankę. Wszak Niemcy z całą tendencyjnością usiłują obniżyć zasługi Sobieskiego około oswobodzenia Wiednia. *„N. R."*

Pamięci Lelewela.

Przypomniano w Warszawie sto dwudziestą rocznicę urodzin Joachima Lelewela. Musiano przypomnieć mimo, że to jeszcze nie miłościwe lato jubileuszowej rocznicy. Warszawa spieszyć się musi w chwili większych nieco swobód i powiedzieć od razu, jednem tchnieniem to, co przez 46 lat leżało w sercu zamknięte i kajdanami spowite.

Siódmego czerwca 1861 po raz ostatni wieńczyła Warszawa w kościele reformackim biust potężnego męża, a tłum warszawski wpatrywał się w niezapomniane rysy historyka na rozdawanych publicznie wizerunkach, czytał drukowane słowo z opisem naukowych i obywatelskich zasług Lelewela.



Joachim Lelewel.

Po czterdziestu sześciu latach na nowo zatrzęsie się Warszawa rozgrzewającą mocą tego nazwiska. Mniejsza z tem, że to sto dwudziesta rocznica urodzin, bo choćby wiosna obecna żadną nie była rocznicą, to Warszawa musi powiedzieć jawnie, że Lelewel to największa chluba polskiego narodu, musi wbić marmur tablicy pamiątkowej na ścianę domu ul. Długa 1, 4, w którym skrzydlaty duch przed udaniem się na emigracyę w r. 1831 swoje tworzył dzieła, musi upamiętnić imię jego nadaniem nazwy „Pasażu Lelewela", linii komunikacyjnej z ulicy Długiej na Miodową przez dom, który od r. 1751 był własnością dziada naszego historyka.

Ale czy tylko Warszawa ma święty obowiązek pamiętać o Joachimie Lelewelu, czy też i nam w pruskim zaborze także nie powinna przyświecać w dzisiejszych czasach spiżowa postać genjalnego uczonego, który obok nauki, szlachetnością wyznawanych przez siebie i szerzonych zasad demokratycznych stał się mocarzem i patronem idei wyzwolenia, usamodzielnienia, porwania do narodowej pracy najszerszych warstw ludu wiejskiego.

Dziwnym a smutnym trafem Warszawa nawet wówczas, kiedy jej słowa wolnego nie było można przemówić, oddawała głośniejszy hołd rzecznikowi idei demokratyczno-republikańskiej, aniżeli wolnego społeczeństwa profesorowie i szkoły historyczne. Równocześnie bowiem, kiedy dwaj najwięksi historycy warszawscy Korzon i Smoleński otrzepywali w pismach swoich pył zapomnienia z dzieł Lelewela, okazując ich wielką i niespożytą wartość — głośniejsza galicyjska szkoła historyczna prawiła o „przestarzałości doktryn" lelewelowskich, obniżyć się starała doniosłość idei, tkwiących w dziełach Lelewela i poddać je krytyce ze stanowiska oportunizmu politycznego.

Imię Lelewela i jego postać szlachetna zostaną jednak bliżej serca całego narodu polskiego, aniżeli nazwiska jego krytyków. Jest bowiem Lelewel chlubą polskiej nauki. Jego genialność połączona z uniwersalną wiedzą i większą jeszcze, niż przysłowiowa benedyktyńska, pracowitością, zjednała mu wysokie stanowisko nie tylko w literaturze polskiej, ale także francuskiej, angielskiej, niemieckiej. Badania jego na polu historyi, chronologii, genealogii, geografii, polityki, etymologii, numizmatyki, lingwistyki, prawoznawstwa, kronikarstwa, archelogii, kartografii — dziś jeszcze nie straciły swej naukowej wartości, nie mówiąc już o tem, że kładły podwaliny w dziedzinie opracowywania źródeł średniowiecza polskiego i metody umiejętnych badań.

Ale to tylko jedna naukowa strona działalności Joachima Lelewela. Równie wielkim jak historyk, a może i większym nawet był on jako obywatel. Jego to duchową spuścizną była cała generacya narodu polskiego: ci co zostawali pod magicznym urokiem jego wykładów w uniwersytecie wileńskim, co patrzyli na jego działalność w Królestwie Kongresowem i szli na jego skinienie w zamieszaniu na emigracyi. Z jego ducha poczęło się odrodzenie i szły blaski, świetlane drogowskazy dla najlepszych ludzi w narodzie, od Mickiewicza począwszy.

On Lelewel, demokrata, republikanin stanąć godzien na wielkim pied stale światowym obok Waszyngtona, Lafayeta, Franklina, Kościuszki. To samo było u niego zaparcie się własnej osoby, cnoty obywatelskie te same i skromność i szlachetność wyznawanych zasad. Prawdziwy anachoreta-pustelnik, mędrzec starożytności, tyatn idei demokratycznej, której moc i siła biegła nietylko wartkiem wspomnieniem

w żyły i krew społeczeństwa polskiego, ale trafiła do wszystkich ludów ujarzmionych Europy.

Warszawa wspomniała to wielkie imię zaraz w pierwszym dniu przebudzenia się. Niechaj więc duch Joachima Lelewela świeci jej na drodze odrodzenia i wznoszenia na nowo gmachu narodowego życia, w tej tak wielkiej dziejowej chwili, niechaj też przyświeca całemu narodowi naszemu, kiedy idea demokratyczna otwiera mu szerokie pole obowiązków i praw narodowych.

Joachim Lelewel urodził się 22 marca 1786 r., umarł 29 maja 1861 r. w Paryżu. „*K. L.*“

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark W PRUSACH ZACHODNICH.

Opisał Konstanty Kościński.

(Ciąg dalszy).

V.

Wojny szwedzkie.

Wspomnienie o wojnach szwedzkich, w które nieszczęsnym sposobem wpiątała się Rzeczpospolita polska, nie zatarło się jeszcze pośród ludu naszego. Musiały to być czasy pełne grozy i niebezpieczeństwa dla życia i mienia, skoro tak głęboko wryły się w pamięć narodu. W rzeczywistości też żołnierz szwedzki niszczył, palił, a przytem rabował gdzie tylko nadarzyła się do tego sposobność. Ztąd też chcąc oznaczyć biedę, nędzę i opustoszenie, lud mówi obecnie jeszcze: „Jakby po Szwedach“. Tu i owdzie spotykane nazwiska: Szweda, Szwedowski, Szwedziński [1]) są jeszcze pamiątką owych nieszczęśliwych czasów.

Pierwszy najazd szwedzki dał się Prusom Królewskim (Zachodnim) w r. 1628 we znaki. Wtedy to król szwedzki Gustaw Adolf wkroczył w tę ówczesną prowincyą Rzeczpospolitej polskiej na czele piętnastotysięcznej armii, składającej się z 10 pułków piechoty i 60 oddziałów jazdy, która prowadziła z sobą 18 armat kruszcowych i 22 skórzanych. (Rury tych skórzanych dział zrobione były z skóry, powrozów i płótna i wskutek tego odznaczały się nadzwyczajną lekkością. Można było dawać z nich ognia, strzał po strzale, niepotrzebując studzić, ale nie były to działa trwałe). W okolicę Lidzbarka przybył król szwedzki Gustaw Adolf na jesieni 1628 r. a w sąsiedniej Brodnicy stanął on dnia 27-go września tego samego roku. [2]) Garnizon szwedzki pozostał tam aż do 6-go listopada 1629 r. Ponieważ Brodnica w pobliżu leży Lidzbarka, można z tej okoliczności mniej więcej osądzić, kiedy się Szwedzi zjawili w Lidzbarku. Niewątpliwie przeto zapuścili Szwedzi w r. 1628 i 1629 swoje zagony także i do Lidzbarka. Najbardziej prawdopodobnie ucierpiał Lidzbark w lutym 1629 r., bo dnia 12-go lutego 1629 r. stoczono bitwę pod Górznem, które tylko o półtorej mili jest oddalone.

Dnia 10-go lutego 1629 r. przybył feldmarszałek szwedzki Hans Wrangel z wojskiem swojem pod Lidzbark, gdzie wojsko polskie w szyku bojowym na niego czekało. Do walniejszej rozprawy jednakże wtedy nie przyszło, bo Wrangel ominął polskie wojsko i skierował pułki swe pod Brodnicę, chcąc Szwedom w Brodnicy udzielić posiłków. W mieście Lidzbarku sam Wrangel stanął kwaterą dnia 10-go lutego i przepędził tu noc następną pod osłoną pięciu kompanii piechoty szwedzkiej i dwóch kompanii dragonów. W tym dniu była też w Lidzbarku załoga polska z dwóch kompanii kozackich się składająia, ale ci pierzchli przed Szwedami. Następnego poranku t. j. dnia 11-go lutego 1629 r. wyruszył Wrangel z Lidzbarka i posunął się z oddziałem swoim przez bór na Radoszki. Tu jednakże znaleźli Szwedzi zaporę, ponieważ w boru tuż przed wsią Radoszki naspuszczali Polacy dużo drzewa, które Szwedom przejście tamowało. Trudności te usuwali Szwedzi przez dwie godziny. Wtenczas dopiero weszli do wsi Radoszki, przebyli rzekę Branicę i wyruszyli następnie pod Górzno. Dowódzcami szwedzkimi byli pod Wranglem pułkownicy Teuffeln, Ehrenreiter, Klitzingk, Ramsey, Streiff i inni. Rycerstwo polskie dowodzone było przez Stanisława Potockiego, któremu komendę generalną zdał był Koniecpolski. Pod Górznem przyszło do spotkania dnia następnego, t. j. 12-go lutego 1629 r. Wynik bitwy był dla Polaków, jak wiadomo z historyi polskiej, nieszczęśliwy. Stracili wtedy Polacy niemało jeńców i broni. Poległ tam po stronie polskiej Jan Bokij, rotmistrz pułku Kozaków, mąż rycerskiemi dziełami na wojnie wsławiony, którego synowi Filipowi w r. 1631 kazała konstytucya koronna zapłacić tysiąc sto złotych. [4]).

Podczas tej wojny wydał król polski Zygmunt III w Warszawie dnia 3 września 1628 r. uniwersał do województwa chełmińskiego, w skład którego wchodził i Lidzbark. Dokument ten własną królewską ręką podpisany i pieczęcią majestatyczną zmocniony, zachował się do dziś w oryginale.

Druga wojna szwedzka pozostawiła w Lidzbarku także swoje ślady. Z miasta samego do polskich szeregów zaciągnęło się trzech, z Brodnicy dwudziestu a z Golubia siedmiu. Z ziemi michałowskiej stawili ziemianie z każdych trzydziestu włók jednego bojownika. [5]) Generał szwedzki Steenbock w listopadzie 1655 r. posuwał się na Zakroczym i Sierpc a następnie do Brodnicy. Miasto Brodnica otwarło mu bramy 20 listopada 1655 r., a Golub i Nowemiasto poddało się wkrótce. [6]) Niezawodnie to samo stało się i z Lidzbarkiem. Przez cztery lata następne pozostawała Brodnica w ręku Szwedów, — a ten sam mniej więcej los spotkał też i Lidzbark. Dopiero w lecie 1659 r. przybyły znaczniejsze zastępy bojowników polskich pod dowództwem Lubomirskiego i przyczyniły się do oswobodzenia znękanego kraju. Wojna zakończyła się traktatem oliwskim z dnia 3-go maja 1660 r. Spustoszenie spowodowane tą wojną było okropne. W trzynastu okolicznych wsiach [7]) t. j. w Jeleniu, Wąpiersku, Pokrzydowie, Jajkowie, Lembargu, Kruszynach, Brudzawach, Nieżywięciu, Pluskowęsach, Słępsku, Radowiskach, Kurkocinie i Pułkowie znajdowało się razem tylko 39 włościan.

W wojnie tak zwanej północnej [8]) był Lidzbark także widownią zapasów. Wtedy to król szwedzki Karol XII po zwycięstwie pod Pułtuskiem wkroczył do Prus Królewskich (Zachodnich). W ostatnich dniach 1702 r. zajęły wojska szwedzkie Golub i Brodnicę i z całej okolicy ściągały kontrybucyą. W tym celu znajdował się oddział szwedzki z 400 końmi pod dowództwem majora Creutza w Lidzbarku. Na niego to uderzył saski generał Brandt dnia 29-go listopada 1702 tak niespodzianie, że Creutzowi mało co czasu pozostało do obrony. Brandt nacierał za-

[1]) Także i w Lidzbarkn.

[2]) Froelich, Gesch. des Kr. Graudenz. 1841 str. 211.

[3]) Israel Hoppe, Gesch. des ersten schwed. poln. Krieges, wydanie Toepena str. 359. 361 .Plehn, Gesch. str. 143. 144.

[4]) Piasecki 405. Niesiecki (wydanie lipskie) II 217. Const. 1631 fol. 38. Plehn, Gesch. sur. 147.

[5]) Lengnich VII. 108. Doc. 97. Plehn, Gesch., str. 158.

[6]) Plehn, Gesch., str. 159.

[7]) Tamże str. 163.

[8]) Z owych czasów (1697) znajduje się w archiwum radzieckiem miasta Torunia rysunek przedstawiający przegląd pospolitego ruszenia ziemi michałowskiej i chełmińskiej



WJAZD CHRYSTUSA DO JERUZALEM.

(*Niedziela Palmowa*).

W święta przaśników, by uczcić zakony,
Do Jeruzalem z swymi apostoły
Spieszy, rodzinne porzuciwszy strony.

A kiedy Syon, kamiennemi czoły
Sterczący w niebo, przed sobą spostrzeże,
Rzecze do uczni, natchnion i wesoły:

„Oto słuchajcie: w świętych bram oścież
Niechaj z tryumfem wejdzie syn Człowieczy,
On, co przybytku Salomona strzeże....

Jan Kasprowicz.

wzięcie, ale mimo to Szwedzi go kilkakrotnie odparli. Wtedy dopiero Brandt postanowił otoczyć miasto ze wszystkich stron, aby Creutzowi odciąć drogę. Część dragonów Brandta zsiadła z konia, druga zaś z przeciwnej strony wkroczyła do miasta. Nie pozostawało wtenczas Szwedom nic innego, jak z bronią w ręku utorować sobie po trupach wyjście. W końcu też Creutzowi udało się uciec przez rzekę Wlę, ale w bitwie tej i w wodzie stracił Creutz rotmistrza, porucznika i 180 jeźdźców. Oprócz tego wzięli Sasi jeszcze pewną liczbę Szwedów do niewoli.

Major Creutz złączył się następnie z generałem Nierothem i powrócił do Lidzbarka, aby natrzeć na saskiego generała Brandta. Brandt jednak nie czekając ponownej bitwy, oddalił się ztąd. Nieroth zastał w Lidzbarku poległych Szwedów, których kazał pogrzebać. Pozbierał też i rannych, którzy się w krzakach pokryli i wyruszył do Nowego miasta. [9]).

Można sobie wystawić, co przez te wojny wycierpieć musiało miasto. Nie dziw też, że archiwa się popaliły i zabytki dawne, któreby mogły wyjaśnić niejeden ciekawy szczegół, niepowrotnie zaginęły. [10]) Lidzbark stał się wskutek tego nędzną mieściną, której obywatelami starosta — wymagając tłoki — byłby pomiatał, gdyby edykt króla Augusta III nie był temu zagrodził. [11]) Wiele doznał przykrości podczas drugiej wojny szwedzkiej ks. Wojciech Sugajski wikary i altarysta św. Anny w Lidzbarku, o czem wizytacya biskupa Olszewskiego z lat 1667 do 1672 osobno wspomina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[9]) Adlerfeld, Leben Karls XII. I. 372, 390. Plehn str. 164, 165.

[10]) Fontas Soc. Liter. Torun. IX. str. 595, 599, 603, 623.

[11]) Plehn, Gesch. 167.

Ze smutków Golgoty.

Łzy wylewałeś w Ogrójcu, o Chryste!
Na pierś Twą smutków padły mroczne cienie —
Lecz rosą niebios były łzy Twe czyste,
A smutek ziemi zwiastował zbawienie.

Na krzyżu męki ogłosił On światu
Prawdę, co w duchów ukochaniu gości —
Skonał, boskiego pełen majestatu,
Aby zmartwychwstać w twórczym dniu radości...

I powiał później tchnieniem swej żałoby
Przez ból rozłogi i przez wichrów jęki,
Przez serca ludzkie, przez życie i groby,
Zadumę myśli i przez czar piosenki.

Przez wczesne rano, posępne i mgliste,
Przez wieczór, w nocne chylący się cienie,
I przez młodości żądze wiekuiste,
I przez starości lodowate tchnienie.

A był On prawdy wieczystą tęsknotą,
Co na Ogrójcu lała łzy rzęsiste,
I widząc w dali jutrznię życia złotą,
Z ducha się Twego zrodziła, o Chryste!

A w tem niejednemu wypadła garść srebrników z węzełków, pod odzieżą krytych — i z brzękiem rozsypała się pod stołem.

Ci zdradę wyrzucali tamtym, plwając w oczy za frymarkę świętościami największemi, jakie mieć mogli, a z jakich oni teraz, z grzechu zdrady chcąc



Ecce homo — oto człowiek.

A był On w Twoim grobowcu ukryty,
I gdy Go tchnienie boże ożywiło,
Z objęcia śmierci uleciał w błękity,
Aby z nich zstąpić twórczą ducha siłą.
A. Pilecki.

Wielki Piątek.

Ze św ata legend

Uznojeni jeszcze po codziennych życia trudach, zgromadzili się męże, czysto przyodziani — w świetlicy białej, świeżo wymiecionej odświętnie... I pozdrowiwszy się wzajemnie, zasiedli za stołem długim, aby pożywać wieczerzę Pańską, jako w ich księgach świętych przykazane było.

Wrzawa wszczęła się na to i od jadła porwali się męże gromadą, wykrzykując społem — jako Judasze są wpośród nich za stołem; niektóry za się po grosiwa kupkę poskoczył i srebrnikami, ciskając wzgardliwie w onych, do których należały, lżył ich, zdrajcami zowiąc i przedawczykami...

Ten i ów nic nie odparł krzyczącym, jeno śpiesznie zgarniał i chował swoje pieniądze, inny znowu przeliczał uronione, nie dbając o przezwiska. — Aliści był niektóry, co się bronić próbując, wszczynał zwady z tamtymi...

Głośna tedy wynikła zaraz kłótnia, w którą wmieszali się wszyscy z za stołu, coraz zajadlej jedni na drugich nastając.

siebie oczyścić — drwili jawnie i głośno, czem jeno spór zaogniali, najspokojniejszych i najcierpliwszych wyprowadziwszy z równowagi swemi bluźnierstwy.

Więc już gromada cała na przedajną garstkę rzuciła się wzburzona z gołemi pięściami, lecz noże w zdradzieckich rękach dojrzawszy, na dwór wybiegła, broni szukając do walki...

I wnet bój zawrzał krwawy, a mściwości wzajemnej nie widać było kresu — ile, że strony obie pomoc wraz znalazły i coraz gwałtowniej wojowały z sobą nadal...

Nikt zaś nie postrzegł nawet, iż męże wypadłszy z domu, barami własnemi wytrącili z wrót godla pokoju,

jakie tam świeżo matki z dziećmi zatknęły w postaci palm poświęcanych.

W zamęcie walki sami po nich, nie wiedząc, deptali ciężkiemi stopy.

A kiedy mocniejsi słabszych ścigać poczęli i bój zacięty potoczył się dalej na pole, skowronki strwożone zerwały się z roli i umykały precz od wojowników: aż podle domów opuszczonych szukały na chwilę schronienia szare śpiewaki spłoszone...

Wtedy to z nich jeden, ujrzawszy palmy, sromotnie przed progami podeptane, podjął dzióbkiem gałązkę z ziemi i uleciał z nią podniebnym szlakiem w dal niezmierzoną...

Nie dziwiły mu się towarzysze. — Wszak ci to skowronek na Golgocie wyrwał cierń z korony męczeńskiej na skrwawionej skroni Zbawiciela wiszącego na krzyżu. Cierń spadł na naszą ziemię i utkwił w niej korzeniami głęboko, szeroko, aż z nich wierzby wyrosły, by co rok wczesną wiosną można było z ich gałązek, szaremi baziami zdobytych gęsto, palmy wić w kwietnią niedziele.

Nie dziwiły się tedy towarzysze skowronkowi, gdy w niebo z palmą, przez wojowników zdeptaną, uleciał — i zniknął w obłoku...

On tam skargę zaniósł bolesną, rozpaczliwą...

A jego brać śpiewacza, żaląc się nad pobojowiskiem, czekała a wyglądała, rychło li kara wielka sprawiedliwości Bożej spadnie z niebios.

Wrócił nakoniec ptak rozśpiewany z obłoków. Towarzysze kołem otoczą go po powrocie z przed Boskiego tronu... A on im opiewa — jako widział i tym razem w oku Pana łzę przebaczenia i słyszał słowa, miłości pełne: „Albowiem nie wiedzą — co czynią!...‟

Zamilkła rzesza śpiewaków rozżalonych nad pobojowiskiem, krwią bratnią dymiącem...

Z bólem odtąd pogląda na palmy poświęcane, a deptane sromotnie ciężką mężów stopą: lecz nigdy przed tron Niebios Pana skarg już nie zanosi — jak wonczas...

Jeno słucha codzień, zali z siół leci w błękity głos dzwonów wiary..

A raz do roku, kiedy w Wielki Piątek cisza martwa zalega kraj cały, skowronki zaniepokojone, gdy od wsi nie usłyszą codziennego dzwonienia — wzbijają się nad role czarne i śpiewają głośnym chórem „Ojcze nasz‟ tylekrotnie — póki nie zabrzmią dzwony rezurekcyjne...

Kazimierz Kalinowski.

Początek szkólnej nauki

to chwila przełomowa w życiu dziecka, pierwszy etap na drodze obowiązkowej pracy.

Dla *naszych* dzieci, ta chwila ma w sobie coś tragicznego. Gdy widzę szeregi naszych malców idących pierwszy raz do szkoły z minkami uśmiechniętemi, lub uroczyście skupionemi, doznaję wrażenia, że te jasne i wesołe duszyczki nielitościwa ręka zamyka w jakiejś ciemnicy, w której zalękłe, strwożone szamocą się z początku bezsilnie, następnie próbują jako tako się zoryentować, potem zaś po omacku się poruszać.

Tak mniej więcej wyobrażam sobie proces psychiczny odbywający się w duszy dziecięcej podczas pierwszych dni, tygodni i miesięcy szkólnej nauki.

Bo proszę tylko sobie wyobrazić większy kontrast, jak dom polski, a niemiecka szkoła! Polska mowa matki i ojca, niemiecka mowa nauczyciela, którego osobiście same dziecko onieśmiela. Dwa odmienne światy! dwie różnorodne atmosfery!

Dorosła osoba zmuszona znaleść się od razu w warunkach tak sprzecznych z dotychczasowymi, doświadczyłaby z pewnością pewnego zawrotu i oszołomienia, zanimby odzyskała równowagę.



Chrystus w ogrodzie oliwnym.

(*Wielki czwartek*).

Czuwajcie ze mną, bo smutna ma dusza!
Zbliża się koniec... wzdyć czuję... nie długo
Życiem zatętni ta posępna głusza;

Przyjdą ci wszyscy, co wczoraj mnie strugą
Kwiatów zlewali, hosanna! wołali,
Że echo smugi podawało smugom —

Na krzyż przybiją gwoździami ze stali...
Ach! a na usta jeden z was mi złoży
Żar pocałunku, który zdradą — pali‟...

Jan Kasprowicz.

A teraz proszę wniknąć w duszę sześcioletniego dziecka. Od razu staje przed niem wielka suma nowych wrażeń, pojęć nieznanych, obcych osobistości, od razu każą mu słuchać języka bardzo mało znanego i tymże językiem przemawiać.

Wprawdzie zazwyczaj przynoszą nasze dzieci (w mieście!) pewien zasób wyrazów niemieckich zasłyszanych w zabawie z rówieśnikami, w składach załatwiając sprawunki. Lecz bez porównania gorzej są przygotowane dzieci wiejskie, którym w pierwszych latach dzieciństwa brak zupełny sposobności usłyszenia niemieckiego języka. Dzięki dobrej pamięci właściwej temu wiekowi znaczna ilość rzeczowników utrwala się bardzo szybko w umyśle dziecka. Z tymi wyrazami łączy się bowiem zmysłowe pojęcie jakiejś rzeczy. Daleko większą trudność sprawiają dzieciom pojęcia przymiotu lub czynności, a więc przymiotniki i czasowniki. Słysząc n. p. takie zdanie: Was siehst du auf diesem Bild? Dziecko jeden tylko wyraz Bild rozumie, znaczenie reszty wyrazów odgaduje za pomocą kombinacyi. Takie zaś wyrazy: zurück, dahin, daher, wieder i tem podobne po prostu zostają niezrozumiane, gdyż nie może ich dziecko dostósować do znanych sobie pojęć; — są więc balastem dla pamięci i mniej zdolnym niezmiernie utrudniają zrozumienie języka.

Że pokonanie tych trudności języka jest pracą niełatwą i niemałą, że często przechodzi o wiele granicę zdolności dziecka — mówią nam o tem te wszystkie przykłady znęcania się nad dziećmi, te nieproporcyonalnie surowe kary, te choroby i zgony skutkiem pobicia, które w rejestrze krzywd naszych i bólów stanowią już stałą rubrykę!

Są to słowa i cyfry, które nie mówią, lecz płaczą...

Na pociechę naszych dzieci zauważyć należy, że zdolność asymilacyi w wysokim stopniu wrodzona naszej rasie i właściwa dzieciom wolność umysłu sprawia, że dziecko otrząsa niejako z siebie nadmiar mózgowego wysiłku, a zatrzymuje tylko pewną sumę wrażeń dostósowaną do swej intelektualnej miary.

My to zwykliśmy określać wyrazami: bezmyślność, roztrzepanie — i często karcimy i karzemy dzieci za to, co jest u nich naturalną koniecznością, a co pewien znakomity pedagog niemiecki nazwał wentylem bezpieczeństwa, chroniącym dziecko od nadmiaru mózgowej pracy.

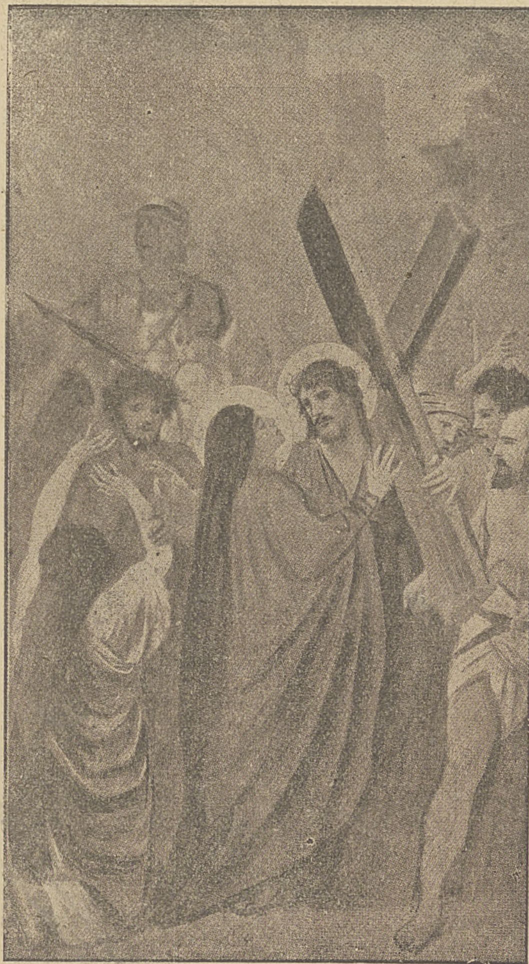
Uwagi te mają na celu zwrócić uwagę rodziców na olbrzymią stosunkowo sumę pracy, energii, przezwyciężenia i umartwienia, jaką od razu podjąć musi dziecko tak jeszcze małe i delikatne.

Jakiż z tego wynika obowiązek dla rodziców? oto podwojona troskliwość, spotęgowana baczność nad dzieckiem. Tylko bardzo bezmyślna matka mówi sobie:

Bogu dzięki, pójdzie chłopiec do szkoły, nie potrzebuję się nim zajmować.

Przeciwnie! teraz więcej niż dotychczas potrzeba dziecku pomocy rodziców. *M. G.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)



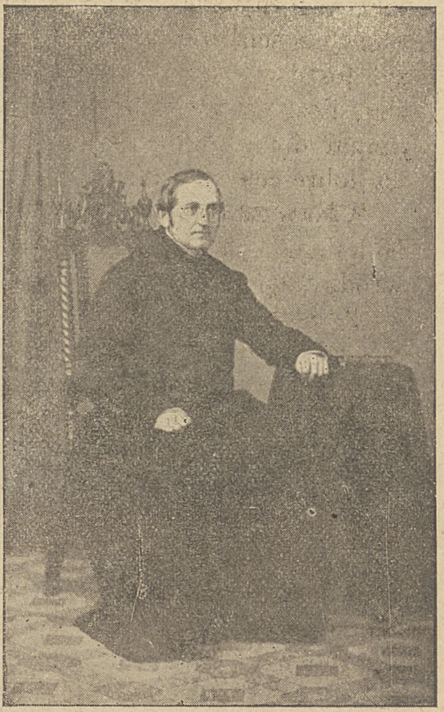
W drodze na Golgotę.

✝

Ś. p. ks. prob. Jubilat Kegel.

Ś. p. ks. Juliusz Kegel urodził się w Rosenthalu, folwarku ojca swego w Prusach Zachodnich, dnia 24 lutego 1826 r. Ukończywszy r. 1842 progimnazyum w Wałczu a 1846 r. gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, wstąpił do seminaryum duchownego w Poznaniu. Wyświęcony 17 marca 1850 r., był wikaryuszem w Koźminie przez jeden rok, potem 5 lat komendarzem w Zdunach i proboszczem załogi wojskowej w temże mieście.

Chociaż ofiarowano mu prezenty na beneficyach w miastach, wolał z przy-



Ś. p. ks. Juliusz Kegel.
(Według fotografii z lat młodszych).

wiązania do gleby i gospodarstwa i z miłości do ludu wiejskiego zostać proboszczem wiejskim. Ztąd widzimy go od roku 1856 do 1870 proboszczem w Szkaradowie w dekanacie jutrosińskim. Ponieważ pragnął być bliżej brata swego, który w tym czasie był otrzymał beneficyum w Krotoszynie, mimo próśb i nalegań parafian szkaradowskich, którzy nie chcieli utracić dobrego pasterza, na prośbę swą otrzymał od Władzy Duchownej beneficyum Benicach pod Krotoszynem. Tutaj 20 lat był gorliwym kapłanem i doradzcą swych parafian także w sprawach prawniczych, gospodarczych.

Wreszcie ciężka choroba wewnętrzna zniewoliła go do zrezygnowania z obowiązków proboszczowskich. Nastąpił dla niego czas cierpień, czas „wygnania“, jak sam opowiadał. Szesnaście lat dźwigał ten krzyż bolesny, mieszkając w Krotoszynie blisko swego ukochanego brata, księdza kanonika Edwarda, aż śmierć tej drogiej osoby przed kilku laty go zupełnie osierociła.

Ś. p. ks. Juliusz był bardzo gorliwym kapłanem, tak dalece, że razu pewego ś. p. ksiądz arcybiskup Przyłuski żartobliwie jemu powiedział: „Jesteś zanadto gorliwym, mój synu“. Z natury był bardzo łagodnym, wyrozumiałym wobec słabości ludzkiej; lecz, gdy było potrzeba, potrafił być energicznym. Trzeźwo na świat patrząc i znając dokładnie prawo państwowe, mógł skutecznej rady udzielać i chęt-

nie to czynił. Korzystali z tych wiadomości jego i konfratrzy i parafianie.

Odziedziczywszy w spadku po rodzicach znaczny majątek, roztropnością i oszczędnością w gospodarstwie pomnożył fortunę. Hojnie rozdawał jałmużny, liczne uczynił legaty, bogato obdarzał domowników swoich a resztę na dobre cele przeznaczył.

Ofiarowanego odznaczenia z okazyi 50-letniego jubileuszu kapłańskiego, z wrodzonej skromności nie przyjął.

Zmarły, choć Niemcem był z domu i rodzinę dzisiaj jeszcze ma niemiecką, to sympatye jego były wyłącznie po stronie naszej; nie mówił inaczej jak po polsku, chociaż nawet z kapłanami Niemcami (co się u młodszych teraz bodaj zdarza). Interesowały go zawsze sprawy nasze narodowe, z boleścią mówił o ucisku i niesprawiedliwości Polaków spotykającej.

Wspierał także datkami regularnie nasze narodowe instytucye, zwłaszcza Pomoc Naukową. Widocznie czuł, iż kapłan powinien całem sercem przylgnąć do ludu, między którym pracuje.

Cześć jego pamięci!

Odezwa

Towarz. „Czytelni Ludowych."

Z końcem roku 1905 upłynęło lat 25 od czasu założenia Towarzystwa „Czytelni ludowych''. W miarę wzmagającego się głodu duchowego zakupił zarząd znaczną ilość książek. Odnośnych funduszy społeczeństwo niestety nie dostarczyło. Zaległości księgarskie wynoszą przeszło 9000 mk.

Celem umorzenia długu postanowiło walne zebranie z dnia 22-go t. m. wezwać społeczeństwo do ofiarności na nadzwyczajny fundusz rezerwowy.

Wzywamy tedy do spiesznej pomocy a w kilku tygodniach rana się zabliźni.

Podwójmy naszą ofiarność i składajmy na ręce Redakcyi pism naszych, jako też na ręce skarbnika p. dr. Kapuścińskiego (Poznań, Podgórna 10 a) obfite składki na fundusz jubileuszowy.

Poznań, dnia 23 marca 1906 r.

Zarząd Tow. „Czytelni ludowych''.

Na fundusz jubileuszowy złożyli na walnem zebraniu za pośrednictwem p. *Karola Rzepeckiego*:

Dr. Fr. Zakrzewski 25 m. Józef Karśnicki 50 mrk. Kazimierz Szułdrzyński 20 m. Dr. Z. Szułdrzyński 20 m. Dr. Stanisław Szumski 10 mk. Walery Łebiński 10 m. Karol Kozłowski 20 m. Dr. Michalski 10 m. Dr. Kapuściński 10 m. Karol Szczaniecki 10 m. Dr. Bolewski 10 m. St. Pfitzner 10 m. Karol Rzepecki 20 m. Wadyński 10 m. Jarosław Leitgeber 10 m. Ksiądz Kopernik z Wągrówca 10 m. F. Raczkowski 10 m. Drogowski nas Romocki 5 m. Stanisław Niegolewski 10 m. Ks. Zimmermann 5 m. J. Jasiński 5 m. M. Kraszkowski 5 m. Dr. Janta Polczyński 5 m. Mecenas L. Cichowicz 40 m. Dr. Grabowski 3 m. Dr. Karwowski 5 m. Dr. Grodzki 5 m. D. F. Jankowski 5 m. A Pojda 1 m. W. Adamski 1 m. J. Adamski



Chrystus na Golgocie.

10 m. Ks. Mędlewski 15 m. Ks. Toboła 5 m. Ks. Głowiński 10 m. Ks. Podkomorski 5 m. Alfons Kolski 5 m. Stanisław Krysiewicz 10 m. Jan Leitgeber 20 m. Stefan Cegielski 10 m. Mecenas Woliński 20 m. K. B. 20 m. Ks. W. Jasiński 10 m. Wład. Berkan 10 m. Mieczysław hr. Kwilecki 20 m. Z. Skrzydlewski 10 m. Hr. Mycielski Stefan 30 m. Ks. Rochalski 10 m. Ks. Mojzykiewicz 20 m. Radzca Bielawski 10 m. Ks. R. 2 m. Ks. Janas 3 m. Ks. Kościelski 10 m. Dr. Witołd Celichowski 20 m. Ks. kan. Adamski 10 m. Włodzimierz Adamski 10 m. Eichstaedt 4 m. H. Hedinger 3 m. Wł. Cynka 3 m. Płaczkowski 3 m. Czesław Leitgeber 10 m. Mecenas 1 m. Ks. K. Smorawski 3 mk. Dr. Liebeck 3 m. M. Boguliński 5 m. Dr. J. Szulc 3 m. Dr. Święcicki 100 mk. Dr. T. Dembiński 10 m. Razem 813 m.

Powyższa suma wpłynęła do kasy Towarzystwa.

Dr. Bolesław Kapuściński,
skarbnik Tow. „Czytelni ludowych.''

Odezwę powyższą polecamy ofiarności naszych czytelników jak najgoręcej. — Przyp. Redakcyi.

Złote listki.

Lepsza w domu szkoda, niżeli wstyd.
Franciszek Karpiński.

* * *

W Boga wiecznego wierz i w dzieła
Boże,
Które on jeden stworzył i zachowa.
O nikim nie mów niedobrego słowa —
Bo i o tobie źle kto mówić może.
Felicyan (Faleński).

* * *

Niech nie wchodzą złe sprawy, ani
grube słowa
Za ten próg, za którym cne dziecię się
chowa.
Salomon Rysiński.

* * *

Wielu rzeczy ubogiemu nie dostaje, ale łakomemu wszystkiego.
Franciszek Karpiński.

* * *

Najpiękniejszą poezyą jest poezya ludu, poezya gminnych narodowych podań.
Maurycy Mochnacki.

* * *

Cnota bez pobłażliwości, jest jako dyament, oprawiony w ciernie; jaśnieje, ale rani i nie pociąga.
Eliza Orzeszkowa.

* * *

Odkryć świat nowy w nauce — rzecz trudna; przekonać o tem współczesnych — jeszcze trudniejsza.
Julian Ochorowicz.

* * *

...Miłość pełna szału
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna;
Stary proces lub herb stary
Fraszką w oczach Kupidyna.
L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla.)

* * *

Sumienie jest ogniem niezgasłym, który dobrego ogrzewa, a złego pali, równie oświecając obydwóch.
Franciszek Karpiński.

* * *

Tyle wieków ludzkość żyje,
A nic przyszła do rozumu,
Ciska, targa się i wije
W postępu kole zdradzieckiem;
Wiele stuku, puku, szumu —
A jak była, tak jest... dzieckiem.
Mikołaj Biernacki (M Rodoć).

Wiadomości literackie i artystyczne.

„Czytelnia" Ludowa," *kwartalnik Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu*, rozpoczął wychodzić nakładem Towarzystwa od dnia 1-go b. m. Treść zeszytu 1-go jest następująca: Od Redakcyi. — Sprawozdanie ogólne z czynności Towarzystwa Czytelni Ludowych w czasie od 1880/81 do 1905 roku — Cwierć wieku. — Sprawozdanie kasowe Tow. Czytelni Ludowych za czas 1880/81 — 1905 roku. — Jakie korzyści niesie oświata ludu? — O potrzebie dobrych bibliotekarzy. — Rej z Nagłowic o potrzebie czytania. — Jak się obchodzić z książkami? — Członkom naszym ku zachęcie! — Oceny książek dla ludu i młodzieży. — Gł sy członków. — Wiadomości różne. — Spis składek na Czytelnie Ludowe w roku 1905.

Abonament roczny wynosi 2 marki, za co się wysyła „Czytelnię Ludową" pod opaską. Adres redakcyi: Dr. Stefan Michalski Poznań (Posen) Chwaliszewo 76 (Wallischei 76). Wszyscy ludzie dobrej woli, którym oświata naszego ludu leży na sercu, powinni „Czytelnię Ludową" zaabonować w myśl idei, którą w duchowej spuściźnie pozostawił nam Słowacki.

Lecz zaklinam! Niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec!

Nasze pokarmy jako środek leczniczy. Przerobiła z niemieckiego O. L. Nakładem wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin N. 58. Weissenburgerstr. 27) Cena 25 fen = 30 hal. = 15 kop.

Książeczka ta, mogąca również nosić tytuł „Kucharz chorych" lub t. p. jest prawie dla każdego niezbędną, bo zachorować łatwo każdy może, a jak ważnem jest wtedy zapobiedz nowej chorobie, zepsuciu żołądka przez niestosowne odżywianie się!

Nekrologia.

† S. p. *ks. Franciszek Grajewski*, proboszcz w Błędowie, w dekanacie wąbrzeskim w Prusach zachodnich, umarł dnia 23-go z. m. w 57 ym roku życia a 26 ym kapłaństwa. Nieboszczyk obchodził zeszłego roku 25-ą rocznicę kapłaństwa, był dobrym Polakiem i gorliwym duszpasterzem. R. i. p.

† Ś. p. *Leokadya z hr. Grabowskich Pomińska*, dnia 28-go z. m. w Kościelcu w 89-ym roku życia.

† Ś. p. *Kazimira Swidrowicz*, dnia 21-go z. m. w Gniewkowie, przeżywszy 33 lata.

† Ś. p. *Franciszka Stan z domu Knast*, dnia 22-go z. m. w Słokach, przeżywszy 47 lat.

† Ś. p. *Marcin Pieniężny* były długoletni organista przy kościele św Jana w Poznaniu, później w Murowanej Goślinie, dnia 25-go z. m. w Tulcach.

† Ś. p. *z Małeckich Barbara Hillar*, dnia 24-go z. m. w 71-ym roku życia w Linówcu w Prusach Zachodnich.

Ś p *Zofia Drwęska*, dnia 26-go z. m. w Dunajewicach w gubernii podolskiej w 22-ej wiośnie życia.

† Ś. p. *Konstanty Breza*, dnia 31-go z. m. w Poznaniu w 64-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Gostyniu.

† Ś. p. *Aniela Janicka z Kozubskich*, dnia 31-go z. m. w Kostrzynie w 52-im roku życia.

† S. p. *Stanisława z Biniakowskich Norkowska*, dnia 1-go b. m. w Strzelnie w 26-ym roku życia.

Dział szaradowy.

Logogryf

Poniżej zamieszczone litery poprzestawiać tak, aby utworzyły 16 wyrazów, środkowe zaś, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko bohatera z XIX wieku.

a
a a a
a a a a a
b b c d d d e
e e e f f
g g i
i
i i i
i i i j k
k k k l l l l
l m m m n n n o o
o o o o o o o p p p p
r r r r r r s s s
t t t t t u u
u w y y z
z

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Spółgłoska.
2) Owoc jadalny.
3) Rodzaj ptaków łażących.
4) Znany poeta grecki.
5) Okolica w Arabii
6) Rzeka w Rosyi.
7) Samogłoska.
8) Pierwiastek chemiczny.
9) Pisarz serbski.
10) Warowny zamek na Żmudzi.
11) Minerał.
12) Nauka.
13) Kąpiele mineralne w Czechach.
14) Imię męzkie.
15) Miasto w Azyi.
16) Samogłoska.

Rozwiązanie nadsyłać należy do dnia 14-go kwietnia

Rozwiązanie rebusa z nr. 9-go „Pracy":

Pokutuje często dziecko za rodziców winy.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Janusz Czaplicki z Kościana A. Szymanowski z Kostrzyna, Władysława Betowska z Kościerzyny, Ludwik Jarosz z Brzescowa, hr. Antoni i hr. Artur Potocki z Lugano, Dyniewicz z Błociszewa, Anna Rejman z Łąki.

Nagrodę otrzymali pp. St. Malicki z Słembowa i Weronika Grzegorczyk z Poznania.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne zebranie Izby Rzemieślniczej w Bydgoszczy.

Szanownej Redakcyi spieszę pod wrażeniem świeżo odbytego Walnego Zebrania Izby Rzemieślniczej w Bydgoszczy donieść, iż pomiędzy innemi na naszą interpelacyę w sprawie wyborów odpowiedziano nam ze strony Zarządu Izby Rzemieślniczej, iż wyborami kierują i zajmują się tylko regencye, a Izba Rzemieślnicza niema wcale z tem nic do czynienia; wybory się wkrótce odbędą, a nowe są dla nas korzystne tylko w powiecie Mogilińsko-Strzelińskim, w których to powiatach wybiera się 3 delegatów i 2 zastępców ponieważ pan Kubacki 3 zastępca, wylosowany przed 3 laty, został wybrany do roku 1909.

Zarządy cechów porozumiały się i postawiono na kandydatów tych powiatów: pp. Ignacego Kornaszewskiego, mistrza stolarskiego ze Strzelna, Jana Borysa, mistrza stolarskiego z Mogilna, Ludwika Sosnowskiego, mistrza blacharskiego z Bydgoszczy, ul. Kolejowa Nr. 74, na zastępców: pp. Wiśniewskiego z Kruszwicy i Witeckiego z Bydgoszczy.

Na tych a nie innych kandydatów głosują miasta Strzelno, Mogilno, Kruszwica, Trzemeszno, Pakość i Gębice.

Najnowszą uchwałę Izby Rzemieślniczej, iż czas nauki najkrótszy wynosić będzie odtąd 3 i pół roku, przyjęto. Etat ustanowiono na rok bieżący na 31,000 mrk., tak że wypadnie 30 proc. od podatku procederowego.

Również uchwalono nowy regulamin przy komisyach egzaminacyjnych, który koniecznie znajdować się powinien na stole podczas egzaminu; egzamin ustny ma zacząć starszy czeladnik, dalej egzaminuje ławnik (Beisitzer), a decyduje pan przewodniczący.

Dziwię się jak powiat wągrowicko-żniński może wybrać żyda. Czy niema tam Towarz. Przem. lub innych ludzi? Drugi w Wągrówcu jestto człowiek stary, niemówiący słowa po niemiecku i cóż znaczy taki delegat? Powiat gnieźnieńsko-witkowski wybrał przed 3 laty 3 delegatów z Gniezna, lecz delegat Szociński to Niemiec; za to korzystano obecnie z tego, usunięto Polaka p. Wirbińskiego i obrano z strony Zarządu samowładnie Niemca z Bydgoszczy. To *uważam za niesłuszne*.

W Inowrocławiu wyrzucono Polaka p. Nowickiego, ponieważ interes idzie na żonę, 3 lata był w tych samych warunkach, zastępuje go Niemiec; zastępca czy urzęduje prawnie?

Źle się dzieje, rzemieślnicy tchórze, boją się coś dla siebie robić, czy tak zawsze będzie?

„Przemysłowiec.“

Szkoły uzupełniające i rzemiosło.

Już niejednokrotnie podnoszono ze strony rzemieślników niemieckich skargi na różne niedomagania szkół uzupełniających, zwłaszcza dla tego, że zamało zwracają uwagi na stronę praktyczną i że uczniowie wogóle mało z nich korzystają. Przeciwko tym zarzutom występuje gazeta, poświęcona wyłącznie szkolnictwu uzupełniającemu, która pisze na temat ogólny o potrzebie wykształcenia rzemieślnika, co następuje:

Skarżą się słusznie, że w rzemiośle brak dzielnych ludzi, dążących śmiało naprzód umysłów z poglądem szerszym, aby mogli stanąć na czele rzemieślników i reprezentować godnie stan rzemieślniczy. Sądzimy, że już w następnym dziesiątku lat będzie lepiej, bo rzemieślnicy znajdą sposobność do wykształcenia, czy to w pracowni, czy też w szkołach uzupełniających. Mimo to środki wykształcenia są tylko przeciętnie średnie i tylko ludzie wśród rzemieślników nadzwyczaj uzdolnieni, będą mogli przy usilnej pracy nad sobą wybić się wysoko. Niestety rzemieślnicy sami często grzeszą wobec rzemiosła, gdyż nie rzadko słychać mówiącego rzemieślnika: mój syn będzie miał lepiej, niż ja i syna oddaję do szkół wyższych. Zwykle dzieje się tak, że syna utalentowanego każe kształcić w szkołach, gdy mniej utalentowany idzie na rzemiosło. Jakim sposobem ma z tych słabszych umysłowo chłopców powstać wśród rzemieślników szereg ludzi zdolnych, którzy mogliby ze skutkiem bronić spraw rzemieślniczych i stworzyć program społeczny, celem zorganizowania rzemieślników.

Niestety jest dziś tak, że młodzieńcy, którzy skończyli szkołę realną, uważaliby za ujmę dla siebie, gdyby im kazano stać za warsztatem ojcowskim.

Rzemieślnicy chcąc przysłużyć się rzemiosłu, powinni zwracać uwagę na to, aby stanowi rzemieślniczemu poświęcała się młodzież utalentowana.

W sprawie szewców poznańskich.

Ze wszystkich stron słyszy się skargi i narzekania na ciężkie czasy, z powodu coraz większej drożyzny wszelkich artykułów, a praca ręczna coraz lichsza, coraz mniejszy zarobek. Rozmaite rzemiosła inne zrozumiały ostatecznie położenie swoje, a zrozumiały je dla tego, że szanują swój zawód, któremu się poświęcili, który ma ich wyżywić. To też łączą się w Związki, aby wspólnie pracować nad wyzwoleniem swojego rzemiosła.

Jedynie o szewcach tego powiedzieć nie można. I to o szewcach naszych. W Poznaniu bowiem, jak w innych wielkich miastach namnożyło się wiele hurtownych składów, które przeważnie fabryczny sprowadzają towar, a to, co szewcom do roboty wydają, chcą za bezcen i płacą też tyle ile sami chcą. Nie naznacza już bowiem ceny za pracę szewc-zawodowiec, ale przedsiębiorca-żyd, który o pracy samej pojęcia nie ma, ale u szewców ciężko idzie, więc sobie przedsiębiorca pozwolić może, bo większa część szewców z prywatnej klienteli wyżyć by nie mogła, więc za jakąbądź cenę biorą robotę, byle przewlec nie bacząc wcale, że przez to ogólnym interesom szewstwa szkodzą, — gdyż inni, choćby mogli i chcieli więcej żądać za swoją pracę, to jej nie dostaną.

Szewc chcąc dziś przy takiej robocie składowej wyżyć, pracować musi do północy a nieraz do rana, a gdy na godzinę chce wypocząć, to już mu tej godziny brak w zarobku. W dodatku surowiec podrożał prawie jeszcze raz o tyle, co dawniej, ale płaca — ta się nawet zmniejszyła.

Czy wobec takich opłakanych stosunków z założonemi patrzeć mamy rękami i nie wziąć się naprawdę do naprawy własnych interesów? Jak długo trwać jeszcze będzie u nas upodlenie, jakie pociąga za sobą proszenie się o robotę choćby za jakąbądź cenę?

Czas, ale to wielki zastanowić się poważnie nad tem.

W najbliższym czasie, jak mi wiadomo, odbyć się ma wiec dla szewców w Domu Katolickim, to też każdy, kto szanuje godność własną, kto szewcem z zawodu, powinien na wiecu tym być i wspólnie radzić, co czynić wypada. A tymczasem łączyć się, by myśli nie były rozbite, by jednomyślnie do jednego dążyć celu — do naprawy stosunków. naszych. *Zawodowiec.*

DZIAŁ KOBIECY.

Nie przesadzajmy!

Charlottenburg, 29 marca 1906.

Szanowna „Praco!“

Tak często w korespondencyach przesyłanych do „Pracy,“ czytamy o przesadzie w strojach, o zabawach i t. p. Uważam to, za tak ważną kwestyę w naszem społeczeństwie, że wartoby raz bliżej w tej sprawie się rozpatrzeć.

My Polacy zwłaszcza, nie powinniśmy grzeszyć przesadą, ale zastanowić się raczej, z jakiej racyi mamy przenosić się jedni nad drugich, przecież wszyscy jesteśmy *tylko Polakami*, braćmi i siostrami. My wszyscy razem i każdy z osobna jesteśmy tą cząstką narodu srodze krzywdzonego, To nam powinno wystarczyć, nie powinniśmy się sami więcej jeszcze krzywdzić.

Bo, że krzywdzimy się sami przesadą, to każdy przyzna. W mieście, zwlaszcza w stanie rzemieślniczym, najwięcej można to zauważyć, i w czem to tam nie ma przesady? Począwszy od dziecka małego zaczynamy od zbytku w strojach, potem, aby tylko piąć się wyżej, posyłamy dziecko do płatnych szkół. Dobra to rzecz, ale dla tych, którzy mają na to, często jednak musimy się bardzo ograniczać, chcąc szkołę opłacić, często od ust sobie odejmować, a wmawiamy w siebie, że to się dziecku przyda.

Słusznie. Czasem jednak nie na wiele, bo jeżeli zajdzie jakiś nieprzewidziany wypadek, a dziecko nie będzie mogło wyższej szkoły ukończyć, to i tak będzie musiało zostać rzemieślnikiem, albo co gorsza — niczem. — W końcu dla czego koniecznie staramy się o to, aby dzieci mieć uczonymi ludźmi?

Dobra to rzecz, ale zostawmy to dla tych, którzy rzeczywiście mają na to, i mogą dzieci kształcić, my rzemieślnicy, którzy mamy tylko tyle, że tak nam jako tako starczy, czasami i jaka marka zbędzie, jeszcze nie potrzebujemy się piąć, i za dzieci szkół opłacać, może dlatego tylko, aby zaimponować sąsiadom i znajomym. Niech nasze dzieci będą tak samo rzemieślnikami jak ojcowie, a pieniądze, któremi szkoły opłacamy, oszczędzajmy dla nich, przydadzą się kiedyś może na rozpoczęcie warsztatu albo interesu.

Oczywiście wyjątek stanowić powinny dzieci, prawdziwie utalentowane. Mamy w naszym stanie jeszcze to niesłuszne mniemanie, że wykształceni ludzie mają łatwiejszy byt, nie potrzebują tak ciężko pracować itp. Nie mogę tu o tem wiele mówić, nadmienię tylko, co pisał w jednej z tutejszych niemieckich gazet, z okazyi strejku, czyli ogólnego wydalania z fabryk berlińskich w październiku zeszłego roku pewien inżynier. Pisał on mniej-więcej w tym sensie: „Na czynione nam zarzuty, jakobyśmy sprzeciwiali się robotnikom, wykonując ich pracę w czasie strejku, zaznaczam, że my jesteśmy do tego nieomal zmuszeni, dla tego, że brak u nas organizacyi, a to z powodu, że nie wszyscy u nas zdają sobie sprawę, w jakim stosunku względem robotnika zostają. Zdaje im się, że są ich pracodawcami. Ale my jesteśmy tak samo pracobiorcami, jak robotnik, z tą różnicą, *że mniej płatni.*“

To chyba wystarczy. Na to potrzebował studyować, żeby był mniej płatnym od rzemieślnika. A ileż tych panów wykształconych czeka na posady? Potem trzeba nam się w obecnych czasach liczyć z tem, że Polakowi nie tak łatwo uzyskać donośną posadę, bo wszędzie ma Niemiec pierwszeństwo, a niestety w wielu fabrykach w Poznaniu, miejsca głównych inżynierów zajmują żydzi. Więc na cóż nam liczyć?

Jako kobieta nie mogę w tej sprawie wydać tu należytego sądu, może ktoś rozsądniejszy tę kwestyę obszerniej poruszy.

Teraz co do nas kobiet, to już chyba najwięcej grzeszymy przesadą. W pierwszym rzędzie stroje, poza tem wszystko inne. Stroje, również dobra rzecz, kto ma na to, ale która z nas musi sama na siebie pracować, a tylko na stroje zapracowany pieniądz wydaje, bez myśli o jutrze, to smutne! — Czasami by wystarczyły dwie sukienki, kiedy nam się zdaje, że musimy mieć pięć, do tego z tuzin bluzek, kiedy i trzy by wystarczyły. Wmawiamy w siebie, że to konieczne, ale niejedna nie ma i nie może mieć dużo strojów, a więc nie jest konieczne. Nawet powiem, że ta, która nie może z drugiemi konkurować pod względem stroju, więcej się podoba i prędzej zamąż wychodzi. Bo właśnie ten strój czyni je dumnemi, zarozumiałemi, niedostępnemi. Mieszczańskie panny za nic w świecie nie poszłyby w służbę, (małe wyjątki naturalnie są wszędzie). Lepiej iść do interesu, do szycia, do fabryki itd. Za robotnika nie pójdzie żadna, za rzemieślnika w ostateczności, gdy inny nie przyjdzie, oczywiście nie wszystkie, ale znam takie panienki, które tak mówiły: owszem podoba mi się ten pan, ale szkoda, że stolarz i to nie podlotki, ale panienki nieosobliwej piękności, mające za sobą 28 latek, nie rozporządzające nigdy więcej jak jedną parą całych pończoch. Inna miała to nieszczęście zakochać się w młodym przystojnym szewcu, ale powiedziała, prędzej zmarnieję, zanim za szewca wyjdę, i to nie posagowa panna, ale córka — kowala.

O przesado! Jak się los nielitościwie zemści za takie wybryki, to znane. Wypada mi raz jeszcze wrócić do stroju. Właśnie te zbytnie stroje przyczyniają się do tego, że stanowią cały majątek panienki, a kiedy czasem wypada iść za mąż, wyprawę trzeba będzie zakredytować u żyda. Czasami zapłacą rodzice, ale kiedy nie ma rodziców, albo sami nie mają, trzeba samej płacić, a jak to trudno, wiedzą chyba te panny, które tej przyjemności skosztowały. Wogóle w zwyczaj weszło urządzać mieszkania na kredyt, zwłaszcza od żyda. Ale jak długo trzeba wypłacać, jak długo — ten żyd ma do mebli prawo, a jaki procent się opłaca, to się na razie nie myśli. Tu moglibyśmy też mniej grzeszyć przesadą, czyż to koniecznie trzeba mieć wszystko od razu? Nasi ojcowie nie mieli tak łatwo, nie było interesów które kredytowały, a prędzej dzieciom mogli grosz zostawić. Dla nich wystarczyło co mieli, nie było przesady w meblach, dywanach i t. d. Zadowolili się podłogą białą umytą.

A właśnie nam Polakom, nam potrzeba na każdą rzecz zapatrywać się praktycznie, zatem uczmy się więcej praktyki. Oszczędzajmy grosz do grosza, bo pieniądz to potęga!

Uczmy dzieci nasze pamiętnych słów naszego polskiego męczennika: Zygmunta Sierakowskiego: „Ja nie wstydzę się żadnej pracy, ja wiem, że można drwa rąbać i wodę nosić i być zawsze i wszędzie prawdziwym, wyższym człowiekiem.“ Uczmy dzieci nasze zgody, nie brońmy im bawić się z synem sąsiada, dla tego, że może niżej nas postawiony, uczmy go, że Polak, nasz brat. Nie uczmy dzieci nienawiści do wrogów, ale uczmy je kochać Polaków. Dziecko spamięta to sobie, i nigdy, nigdy nie zapomni, że jest, i na zawsze pozostanie Polakiem.

Za braki wszelkie przepraszam bo, niestety nie mogę się zaliczyć do kobiet z lepszem wykształceniem, pojmuję rzeczy tak, jak się własnym rozumem na nie zapatruję.

Polka na obczyźnie.

ROZMAITOŚCI.

Zbrojny napad na folwark. „Now. Wil." donoszą o niezwykle zuchwałym napadzie na folwark Dębówkę, w gminie Rudomińskiej, w pow. wileńskim. Przed kilku dniami siedmiu uzbrojonych bandytów przez wyłamane okno wtargnęło do mieszkania, gdzie śpiących domowników powiązali, zaś od p. Aleksandra Dejnarowicza domagali się wydania pieniędzy, strasząc strzałami z rewolwerów, a gdy p. D. zapierał się, że niema, skrępowawszy go sznurami, rozłożyli ogień w piecu grożąc, że go spalą żywcem, nogi jego wsunęli do płomieni. Przerażony p. D. powiedział wówczas, że w kufrze ma 75 rb. Zabrawszy owe pieniądze i zegarek, pozostawili wszystkich skrępowanymi, a sami udali się do stajni, gdzie uprowadzili konia i znikli bez śladu.

* * *

Księżna Elwira uwięziona. Zdarzył się świeżo w Rzymie wielki skandal, którego bohaterką była księżna Elwira burbońska, córka pretendenta do tronu hiszpańskiego Don Carlosa. Żyje ona w Rzymie z malarzem Folchim, który ją przed kilku laty uwiódł. Ks. Elwira wstąpiła do farbiarni, celem odebrania sukni i rozpoczęła tam z sklepową awanturę o cenę. Wreszcie przyszło do bitki, gdy sklepowa wydać jej nie chciała sukni bez pieniędzy. Księżna obiła sklepową tak ciężko, że się udać musiała do szpitala, gdzie ją obandażowano. Policya uwięziła księżnę i umieściła ją w areszcie, skąd wypuszczono ją dopiero wówczas, gdy dostarczono świadectwa lekarskie, potwierdzające, że niedyspozycya sklepowej nie potrwa dłużej, niż 8 dni. Sprawa ta wywołała w Rzymie wielką sensacyę.

* * *

Za zabicie gacha zakończyła się w Turynie rozprawa przeciw niejakiemu Garresu. Zabił on gacha, którego zastał u swej żony, a niewierną ciężko pokaleczył. Sąd uwolnił go jednomyślnie. Publiczność przyjęła wyrok entuzyastycznie. Wielu ściskało i całowało G. Wreszcie w tryumfie wyniesiono go z izby sądowej.

* * *

Przykrawacz milionerem. Przykrawacz w jednym z wiedeńskich zakładów krawieckich, niejaki Franciszek Krucki otrzymał tymi dniami zawiadomienie od konsula amerykańskiego, że zmarły w Ameryce wuj jego pozostawił mu majątek w kwocie 60 milionów franków. Krucki pochodzi z małej wioski czeskiej, skąd był również rodem jego wujaszek amerykański. Ten ostatni, handlarz drzewem, wyemigrował do nowego Jorku, zakupił tereny lesiste i wraz z nimi niespodziewanie stał się właścicielem kopalni złota, której zawdzięcza swój majątek. Wszystkie dzieci jego wymarły przed nim, tak, że nie spodziewający się niczego biedny siostrzeniec odziedziczył amerykańskie miliony.

* * *

Porwanie. W Nowym Jorku porwali bandyci 14-letniego syna bankiera Bozuffi'ego i żądają, za uwolnienie jego 20.000 dolarów. Zrozpaczeni rodzice otrzymali dwa listy od chłopca, w których błaga, aby wysłano jego więzicielom żądaną sumę. Nawet sami uwodziciele powtórnie pisali, domagając się okupu i odgrażając się, że w razie przeciwnym zabiją więźnia. Chłopaka uprowadzono w niedzielę popołudniu, gdy go ojciec posłał po znaczki pocztowe. Sprawą tą zajęła się policya i sprawdziła, że Bozuffi kupił znaczki i udał się z powrotem do banku, że dopiero w drodze powrotnej zaczepili go jacyś bandyci. Rodzice otrzymują ciągle listy i od syna i od uwodzicieli, pisane po włosku, a nawet w pięknym stylu. Według doniesienia chłopca, uwięziony jest w Brooklynie. Prosząc zaś o rychłe złożenie okupu błaga rodziców, aby nie zawiadamiali policyi o wypadku, albowiem musiałby to życiem przypłacić. Tak samo uwodziciele piszą, że powodem uprowadzenia nie jest zemsta, tylko konieczność, że gorąco wzywają rodziców do zapłacenia okupu, ale bez użycia żadnego podstępu lub oszustwa, gdyż w przeciwnym razie syn ich musiałby umrzeć.

* * *

Ciekawem jest zestawienie nowego parlam. angielskiego, którego członkowie rekrutują się z następujących kategoryi: prawnicy dają najsilniejszy kontygent, zwłaszcza około 100 posłów. Następnie idą fabrykanci z liczbą 71, kupcy z 60, exoficerowie z 45 posłów, 34 adwokatów, 29 dziennikarzy, 28 urzędników różnych departamentów rządowych, 20 właścicieli okrętów, 19 literatów, 28 oficerów-wolontaryuszy, 10 lekarzy, 13 robotników górniczych, 12 ziemian, 10 właścicieli kopalń, 10 browarzy i destylatorów, 10 urzędn. stanu cywilnego, 9 bankierów, 8 profesorów, 8 spekulantów giełdowych, 7 robotników fabrycznych, 6 nauczycieli szkolnych, 4 architektów, 4 cieśli, 3 kaznodziei, 3 pomocników handlowych, 2 rewizorów umarłych, 2 mechaników, 2 rzeźbiarzy kamieniarskich, 2 robotników pracujących przy łomach kamiennych, 1 właściciel kąpieli morskiej, 1 sportowiec, 1 roznosiciel gazet, 1 robotnik zatrudniony przy ładowaniu czółen ciężarowych, 1 robotnik rolniczy, 1 kowal i 5 drukarzy-składaczy. *J. S.*

Humorystyka.

Przygoda Icka Gojmana na ćwiczeniach „Sokołów“.

Szanowne Redakczio!

Najuprzyjmi prosze o umieszczynie nastempujoncego szpasu, który mie sze wydarzył:

Jo sze wstompiałem już od dawna do *„Deutsche Turnverein“* i już umiołem bardzo ładnie turnowacz. A że te nasze turnery majom już downo krziwe oko na te polskie sokoły (bo une kcą zrobieć rewolucie) wienc kczeli wysłacz jednego z naszych turnerów, aby tak *ganz bisken* sie zapatrywoł, co te sokoły akurat turnują, czy tak jak my, abo czy uny majum co ynnego *auf den Gedanken*. Wienc rychtyg zeszły tygodnia na nasze zwyczajne *Sitzung*, to jest *Monatskneipe* uchwalili te nasze turnery na mnie, żeby jo sze poszedł tak *ganz unaufällig* zoboczyć, co te sokoły za *Geheimbündelei vorhaben*, i mówieli mi jeszcze tak: „Du Icek, ty umysz bardzo delikatnie po polsku, bo ty żesz uczyk aus Kalisch jeszcze przed wójne, wienc pódziesz zoboczyć, co te sokoły tam robiom!“ A ja to sze bardzo żlynknąłem, bo każdy uczciwy człowiek boji sze przed taki eksperymenta, ale że tylko jo umiem po tym polskim jenżyku gadać, wienc rychtyg na ten jejych akuratny czas, to jest jak uny mają turnowanie, poszłym.

Aj! jak jo ich sze tam zobaczył, to te sokoły zaro mie poznali i mówi do mnie: aj, ty Icek, ty kczołesz widziować jak my turnujemy? Możesz bez strachu patrzeć! Ale że jo sze przyszedłem ich szpiegować, to sze w jejych miszlach nie zrobiło. Wienc mogłem sobie spokojnie wypatrywacz, co sze tam dzieje. Aj waj mir! Jak te sokoły tam czwyczowali! (Bo uny muwium czwyczowacz zamiast turnowacz).

Jeden czwyczował na Reck (co uny muwium „brynczník“) olbrzyma. Z naszych nikt by takie coś nie umioł! I jo sze tak blisko koło nich stołem, aż nakoniec jedyn sokół mówieł do mnie: „Ty Icek! ty pewno mosz straśne szyłe, aj, jakie ty wielgie mosz muszkuły; tobie musiała już matka nad kolebka o wielgie mocy szpiwać!“ Na takie wychwolenie to jo sze bardzo uczeszył, bo przeciesz epes szyłe to jo też mom, wienc muwiem: „Tak, kochane sokoły, jo sze nie boje ani pienciu chłopa! (naturalnie jak une mi nic nie zrobiom). Ale tyn sokół mówi: „To jeszcze nic; ja mogę podnieść siedem chłopów!“ Na to jo sze bardzo wydziwiołem, i te drugie sokoły też. Bo jednego chłopa tobym morze uniusł, ale szedem.... na to trzeba mieć już okropne wielgie szyłe. Ale zaro tyn sokół (niech Pan Bóg jego dusze do raju nie przyjmie) kładzie sze jak długi na żymie, brzuchem na wierzch, a te drugie sokoły na niego, ale tak w bok sze położyły. A tyn pierwszy sokół muwi: „Ty Icek. ty tysz możesz sze położyć! Wienc jo że bułem bardzo dziwny tego eksperymentu, wienc położyłem sze też, plecami na wierzch. Tyn sokół nimógł od razu podnieść, więc ze złoszci tak mie mocno przytrzymali, że sze nimógłem ani ruszyć, i jak te sokoły zaczną bicz... aj waj mir!... na całe moje plecy i troszke niży od pleców! Jo sze zaro nie mógł wytrzymać szmichu i krzyczę na całe gardło: „Panowie sokoły nie gniewajcie sze na mnie, że jo taki częszki, że un nimógł podnieść! Ale te grubiany nic tylko z wielgum złoszczum bijom, a mnie tosze erst mocno czepło zrobiło, dann żymno, i takie fermentacie. Krzyczeli jeszcze: „Tyś, Icku tero okszcony!“ *) Już nimogę wiency pisacz, bo mi sze kcze znowu płakać na takie myszli wienc podpisuje sze mit Hochachtung

Icek Reiknab Gojman.

*) Sokoli sprawili Ickowi t. zw. „Dziadka sokolskiego.“

Grzeczność dla dam.

— Nie wie pan, kto to jest ten brunet, który mi się tak przyglądał...

— Ach! to, proszę pani jest znany badacz starożytności...

Na wystawie łowieckiej.

— Mężusiu, chodź do drugiego pokoju, zobaczysz pyszne rogi!

— Rogi to dla mnie żadna osobliwość, noszę już je na głowie od samego ślubu.

Na wieczorku.

— Kogo pan bardziej lubi: Sienkiewicza, czy Dygasińskiego?

— To pan nie wie, że już jestem zaręczona z panem Aleksandrem, prowizorem z apteki?!

Wielki wynalazca.

Wielka wrzawa pod niebiosa
Wrzała w świecie z krańca w kraniec,
Kiedy zjawił się *Szczepanik*
Wynalazków niosąc dzbaniec.
A im więcej go sławiono,
Im rozgłośniej grzmiała sława,
Tem on więcej nowych cudów
Sypał światu jak z rękawa...
Aż dziś oto, po niewczasie
Wyszła na jaw prawda naga,
Że te wszystkie wynalazki
To wierutna arcybluga.
Jeden tylko wynalazek
Udał mu się — (choć nie nowy):
To ożenek! Zresztą chłop jest
Jak był... mądry, ale zdrowy.

Iskry humoru.

— O pani! jedyne w świecie moje marzenie: raz panią pocałować — i umrzeć!

— Mówisz pan to seryo?

— Jak najpoważniej!

— W takim razie nic łatwiejszego: Pocałuj mnie pan... w obecności mego męża!...

— Dla czego to każdy żyd umie pisać?

— Bo się boi, żeby nie potrzebował w sądzie podpisywać się.. trzema *krzyżami!*

Przed pierwszym.

— *Majster.* Odniosłeś buty panu sędziemu?

— Odniosłem.

— Cóż? dał pieniądze?

— Nie dał!... niech tam idzie Jędrek.

— A czemuż nie dał ich tobie?

— Czy ja wiem? powiedział, żeby pan majster przysłał *drugiego* po pieniądze.

Modniarka do panny.

Modniarka (do panny). Z pani nie będzie do śmierci dobra modniarka! Zanim pani z tą swoją powolnością ubierze jeden kapelusz, to już przyjdzie inna moda!